

zdarzenia

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

KRAKÓW

12. V. 1957 r.

Nr 1

CENA Zł 1.50

Co Wam chcemy dać w Waszym piśmie? Szeroką, wszechstronną i rzetelną informację z dziedziny polityki, problemów społecznych, nauki, sztuki i literatury. Pragniemy, abyście wraz z nami redagowali Wasze pismo. Czekamy na listy, które pomogą nam wysondować Wasze zainteresowania. Najlepiej napisane, krótkie, treściwe korespondencje będą nagradzane i oczywiście drukowane na łamach Zdarzeń. Wprowadzamy rubrykę „Odpowiadamy na wszelkie pytania”. Możecie zwracać się do redakcji z pytaniami na wszelkie tematy. Odpowiedzi udzielać będą specjaliści. A więc czekamy na pytania.



Saganka po wypadku samochodowym wraca do zdrowia.

Ojciec Pirożyński znowu w akcji

W numerze 2 (80) wznowionego obecnie dwumiesięcznika ascetyczno-duszpasterskiego „Homo Dei” (marzec-kwiecień 1957) pod redakcją redemptorysty ks. Mariana Pirożyńskiego znaleźliśmy zapowiedź II wydania przesławnego poradnika „Co czytać?” tegoż Pirożyńskiego w 25-lecie I wydania.

Poradnik ów, okryty sławą i udostępniony publiczności napiętnowany zaraz w co celniejszych fragmentach przez Borysa-Zeleńskiego, znalazł teraz w „Homo Dei” swego apologetę w osobie p. Bol. Czerwińskiego, który wzywa do kontynuowania zbiorowym wysiłkiem pomienionego dzieła.

Jak taki poradnik będzie wyglądać, daje próbkę sam ojciec redemptorysta oceniając w tymże zeszycie redagowanego przez siebie pisma tłumaczenie „Witaj smutku!”. Cytujemy: „Mała książeczka w pornograficznej okładce jest zastanawiającym symptomem naszych czasów. Po pierwsze, napisała ją 18-letnia liceistka, która nie zdała matury. Po drugie, treścią jej są akty parzenia się francuskich nierobów podczas wakacji w upalne lato; w łóżku i w łódce, na trawie i w wodzie — wszędzie, gdzie się dało. Ta generalna ruja jest przeplatana banalnymi wydarzeniami burżujskiego życia. Preponderancja erotyzmu dowodzi, że autorka jest psychopatką na tle seksualnym. Po trzecie dzieje się to wszystko pod okiem ojca autorki i z jego czułą aprobatą całkiem zrozumiałą, ponieważ córka pochwała pożycie ojca z kochanką pod dachem rodzinnym. Ta dobrana cwajpara (!) przyczyniła się pośrednio do samobójstwa życzliwej im osoby, również egoistki goniącej za erotycznymi wzruszeniami. W pewnym momencie córka rzuca ojcu w twarz: „Ty świnió!” Nic się nie pomyliła, tylko, że i ojciec powinien był jej to samo powiedzieć...”

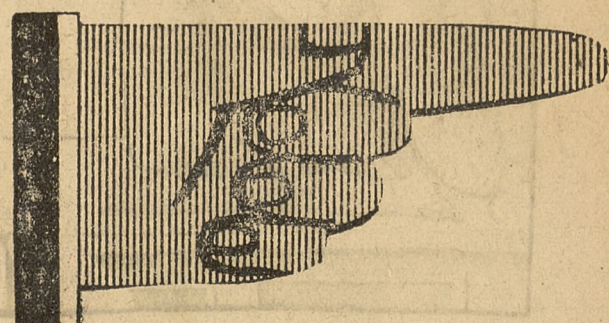


piszą:

**Caldwell
Promiński
Lem
Kydryński
Kantor
Klominek
Miecugow.**

rysują:

**Steinberg
Mróz
Wiśniak**





felieton

Niektórzy myślą, że ta powódź coraz to nowych pism, która zalewa Polskę, jest zjawiskiem bezsensownym. że to jest jakieś zaraźliwe szaleństwo, którego dewiza brzmi: „Każdy Polak redaktorem Pisma”, i że trzeba coś zrobić, przeciwdziałać, najlepiej oczywiście przez założenie pisma, które będzie zwalowało nadmiar pism. Ale to fałszywy, krótkowzroczny punkt widzenia. Co do mnie, jestem jak najlepszej myśli. Ilością tytułów, nakładów, a także zwrotów, bijemy już Wschód, Zachód, Północ i Południe. A kiedy okiem, nawykłym do żeglowania w Przyszłość, obejmę nasz drogi kraj za lat dziesięć, widzę, że w Polsce nie będzie już nic, jak tylko Pisma i Loterie — nic więcej — ale czy to mało?! Pamięć i wdzięczność rodaków należy się temu, kto pierwszy wpadł na ów genialny pomysł, że wyciągnąć nas z biedy, uzdrowić naszą gospodarkę i pchnąć ją na szczyty rozwoju można tylko Pismami i Loteriami. Proszę się nie śmiać; rzecz nie jest biała.

Jak się okazało, każdy problem można załatwić Pismem. Może to

być kwartalnik, dwumiesięcznik, druk okolicznościowy — ale najlepszy jest Tygodnik. Nie ma gdzie mieszkać? Nic prostszego, dość założyć pismo o domkach jednorodzinnych, pt. „Fundamenty”. Ze zbożem nie bardzo? No więc cóż, zakładamy pismo „Plon”, i sprawa jest załatwiona. Im więcej pism, tym lepiej. Nie muszą one przecież być czytane, rzecz tylko w tym, żeby je sprzedawać i kupować. Niesprzedane miełe się i wyrabia z tego papier, na którym drukuje się Nowe Pisma. Coś mi się zdaje, że jesteśmy tu już blisko odkrycia Tajemnicy Perpetuum Mobile. Małodusznej powiadają, że już teraz człowiek, który marnuje znaczną część dnia na pracę zarobkową, nie ma ani pieniędzy, ani czasu, żeby przeczytać wszystko, co jest w kioskach. Ale jak tu nie czytać, o Małodusznej, kiedy wszystko Takie Ciekawe, Problemowe, i na Takim poziomie? A zatem nie ma rady — trzeba porzucić przeszkadzającą pracę, kupować i czytać! Ale za co kupować? Z czego żyć? Toż to całkiem proste: z wydawania pism! Powiedzmy, drogi Czytelniku, że przestajesz zajmować się tym, coś dotąd robił, i wstępujesz do jakiejś redakcji. Albo, jeszcze lepiej, że zakładasz, wraz ze znajomymi, nowe Pismo. Członkowie Twojej redakcji kupują wszystkie inne pisma, a znów redaktorzy tych innych pism kupują Twoje. Wszyscy czytają wszystkich, niesłuchany rozkwit kultury, polemiki, dyskusje problemowe — czy to nie wspaniały obraz i perspektywa. Być może, że dochody z wydawania pisma będą skromne i starczą tylko na chleb i, od czasu do czasu, kotlet. A luksusy? I o tym pomyślano! Na luksusy jest prosty sposób: Loterie! Nie czas załamywać rąk nad gospodarką narodową, nad jej fatalnym stanem: trzeba się wziąć do uczciwej pracy Wykupowania Losów Loteryjnych. I rzeczywiście, naród to robi. Naród gra w Totka, w Lajkonika, w Zgaduj Zgadule, która likwiduje powrotny analfabetyzm — głównymi nagrodami są już auta, i parcele, i domki jednorodzinne — ale to mało. To tylko początek. Doskonałości nie osiąga się od razu. Nastąpi ona, kiedy WSZYSTKO będzie się wygrywać na loterii. Pchać się w ogonku po masło? Latać z wywieszonym ozorem za cytryną? Nie móc znaleźć nigdzie majtek dla dziecka i kłać z tego powodu? Nonsens! Nonsens, powiadam. Już wnet kostki mięsa będzie można wygrać na loterii odpowiedzialnej spóldzielczości, majtki —

na Konkursie Wojewódzkich Spółdzielni Wielobranżowych, bilet do kina — na Zgaduj Zgadule, a cytrynę — na Kiermaszu urządzonym przez b. pracowników Ministerstwa Handlu Zagranicznego. Zonę zaś na Wielkiej Loterii Centrali Małomówności. I tak dalej. A kiedy jeszcze pocznie się drogą losowania ustalać skład osobowy kadry Ministrów, kiedy wybory do Sejmu będą się odbywały przy pomocy ciągnięcia, o naszej polityce zagranicznej, o jej najbliższych etapach, decydować będą specjalnie przeszkolone papugi, wyciągające odpowiednie kartki z zestawu zatwierdzonego przez Centralne Biuro Planowania Loteryjnego (może być i Zdecentralizowane, na to się zanosi) — wtedy żaden kraj nie będzie się mógł już z nami równać. Każdy, najdrobniejszy sprawunek z meczącego uganiania się przemieni się w wielką radość, wygraną! A wszystko to w szumiącym łagodnie oceanie Pism, Tygodników, i Kwartalników. Tak więc gazety przyniosą nam chleb, a masło do niego — loterie. I oto cała ekonomiczna łamigłówka naszych czasów zostaje rozwiązana w sposób dziecinnie prosty. Polskie Radio będzie na wszystkich falach i programach podawać tylko wyniki ciągnięć i losowań; nareszcie przestanie się narzekać na nudę programów, wreszcie ludzie będą słuchać, nie odchodząc od głośników! Myślę sobie, że na Górze już dawno tak postanowiono, bo inaczej Czynniki ukróciłyby tę wydawniczą orgię, to powstawanie redakcji przez pączkowanie, podział albo — mirabile dictu — przez samoródtwo.

Także z astronomicznego punktu widzenia ten przyszły nasz rozwój jest szalenie korzystny. Przecież już za paręnaście lat rozpoczyna się podróże międzyplanetarne. Będzie tam trzeba, na te rozmaite globy, wysłać moc rzeczy, towarów, specjalistów — bo przecież i tam muszą żyć jakieś istoty. Czy możemy pozostać w tyle? Nigdy w świecie! Będziemy zatem eksportować całe, gotowe pisma wraz z redakcjami i zespołami. Co się tyczy tematyki tych pism, to wszystko jest już teraz jak najlepiej, bo nasi Redaktorzy umieją pisać o wszystkim. Absolutnie o wszystkim. Taką np. problematykę Marsa, czy Neptuna „po prostu” oparuje w dziesięć dni. Inna rzecz, że tego tygodnika chyba nie sprzedamy — najwyżej można otworzyć gwiazdowe ekspozytury.

Zastanawiam się, czy to masowe odchodzenie ludzi wszelkich fachów i zawodów do dziennikarstwa już się aby nie rozpoczęło?! Bo mnie się wydaje, że tak. Ot, weźmy choćby moje mieszkanie. Od paru miesięcy w najróżniejszych godzinach dnia gąsnie mi nagle elektryczność. I proszę mi nie mówić o szczycie, czy o jakichś trudnościach itd. Jaki tam szczyt! Kilka dni temu światło zgasiło wczoraz, a zabiło dopiero po 14 godzinach, na drugi dzień rano. Czasem znów nie ma go przez całe rano. A mieszkam niby w śródmieściu koło Wielopola. Więc, czy to nie jest oznaką, że elekrownia powoli się wyludnia, bo technicy i robotnicy przeszli do redagowania nowych pism, które załatwiają i Atakują rozmaite Pałace Problemy?

A bo taka ulica Długa, która w oczach zamienia się w dziki wawóz. Po gruzach, wyrwach i wadłach, smagani kręconymi przez wiatr biciami wyschlęgo nawozu końskiego, pod ścianami rozsypujących się kamienic przemykają się tam chyłkiem zziębnięci i obszarpani mieszkańcy Krakowa. Ktoś by zaczął bąkać, że tam tor tramwajowy naprawiają, że tam jakąś inną jezdnię kładą, itp. Panowie, bez niemiłych żartów! Tam się na pewno nowe pismo jakiegoś zakłada, a kto wie, czy nie loterie, bo gdzież ta robota, ta jezdnia, ci robotnicy?! Tych trzech, którzy dwa kamienie na dzień młotkiem obstukują? Ale to zwyczajna dekoracja, złudzenie, czyli tak zwana „atrapa”. Tak, tak, bo jedyną Realnością są Pisma i Loterie. Nic ponadto nie istnieje, a jeżeli nawet w stanie rozsyпки i kompletnej degrengolady jeszcze zipie, to trzeba najpierw zdecentralizować i zdekratyzować, a potem rozebrać, rozkreść i, i usunąć, żeby śladu nie pozostał. Żeby było miejsce dla Twórczej, Loteryjno-Redakcyjnej działalności.

Być może powie ktoś, że to brzmi po wariacku. Dajmy na to, ale kto jest tym wariatem? Może ja? Czy to ja zakładam te wszystkie Karolinki, Lajkoniki, Loterie, Kiermasze i Zgaduj-Zgadule, oraz tysiące i miliardy Nowych Pism? Nie, to naród czyni, że zaś vox populi — vox Dei — grajmy na loterii i zakładajmy Pisma. Tylko tak dalej, drodzy Państwo, tylko tak dalej!

STANISŁAW LEM



Rys. WIŚNIAK

ROZMAWIAMY Z RED. SCHROMEM Z WIEDNIA

najbardziej zdziwiło mnie...



Rys. D. Mróz

Przed kilkoma dniami gościłmymy w Klubie Dziennikarzy red. Franza Schroma z „Wiener Woche Ausgabe”. Przy tej okazji red. Schrom nie omieszkął podzielić się z nami swoimi wrażeniami, zastrzegając się jednak, że nie zamierza poruszać żadnych wielkich problemów i że pragnąłby ograniczyć się jedynie do uwag na temat naszego „szarego życia”, widzianego oczyma cudzoziemca. Zaproponowaliśmy więc, by odpowiedział nam na kilka pytań.

— Gdyby któryś z Pana kolegów wybierał się do Polski, jakich rad udzieliłby mu Pan przed wyjazdem?

— Przede wszystkim poleciłbym mu zapisać się na kurs jogów, celem opanowania sztuki cierpliwości. Obsługa w restauracjach, hotelach itp. — wykańcza człowieka nerwowo. W wagonie restauracyjnym pociągu Warszawa—Kraków, przez 20 minut czekałem na kelnera, który tymczasem z całym spokojem plotkował przy sąsiednim stole ze swoimi kolegami. Najbardziej zdziwiło mnie jednak fakt, że inni goście, Polacy, nie robili bynajmniej wrażenia wyprowadzonych tym z równowagi i przyjmowali to w wielkiej pokorze ducha. Oczywiście ostrzegalbym również swojego kolegę przed szafowaniem w Polsce napiwkami, które — bez względu na ich wysokość — nie dodają bynajmniej skrzydeł obłudze.

Wreszcie, poradziłbym mu zaopatrzyć się przed podróżą w składany namiot i ewentualnie polowe łóżko. Gdy przyjechałem w nocy do Krakowa, nie było miejsca w żadnym z hoteli i gdyby nie uprzejmość jednego z krakowskich dziennikarzy, który wziął mnie do swojego mieszkania — prawdopodobnie nocowałbym na tutejszych (bardzo zresztą uroczych) plantach.

— Co Pana zdaniem należałoby zmienić w Krakowie, by stał się on bardziej atrakcyjny dla przyjezdnych gości?

— Wydaje mi się, że poza wzięciem sobie do serca powyższych uwag — niewiele. Proponowałbym natomiast — bez chęci ingerowania w wasze sprawy wewnętrzne — zmienić coś niecoś w odpowiednich urzędach w Warszawie i doprowadzić do tego, by sprawami turystyki, która w Polsce ma bardzo dużą przyszłość — zajęli się ludzie z głową na karku. Proponowałbym również przeniesienie stolicy do Krakowa, który jest naprawdę uroczym miastem bardzo przypominającym nasz Wiedeń, ale to jest oczywiście tylko „pobożnym życzeniem” człowieka, który czuł się tutaj doskonale i wywodził stąd (mimo wszystkich usterek) jak najlepsze wrażenia. Oczywiście, mam nadzieję, że nie weźmiecie tego zbyt serio.

— Poruszył Pan przed chwilą dość ciekawy temat, mianowicie turystykę. Czy istnieje jakieś możliwości zwiększenia wymiany turystycznej pomiędzy Polską a Austrią?

— Bezwzględnie tak. Prawie każde dziecko słyszało o Zakopanem, Krakowie, Częstochowie. Wielu ludzi chętnie odwiedziłoby Wasz kraj, ale obawiam się, że w obecnej sytuacji, kiedy nie jesteście na to odpowiednio przygotowani — mogłoby się nieco rozczarować. Poza tym wymianę turystyczną (z którą wiąże się bardzo ściśle sprawa dewiz) należy rozumieć dosłownie, tzn. że musi to być wymiana obustronna. Niezależnie od wszystkiego innego, wydaje mi się, że Wasza propaganda zagraniczna jest bardzo słaba. Po prostu nie potraficie się odpowiednio reklamować, sprzedając korzystnie to, co

posiadacie. A przecież jesteście w tej chwili — po zmianie kursu zachodnich walut — stosunkowo tanim dla zagranicznych turystów krajem i przyjmując, że potrafilibyście się przygotować na duży napływ gości, zrobilibyście na tym dobry interes. W ogóle, wydaje mi się, że z reklamą jest u Was kłopot. Wystawy sklepowe nie są zbyt atrakcyjne, towary nie przyciągają oka kupujących. A przecież nie jest to tak wielką sztuką...

— Kim nie chciałby Pan być w Polsce?

— W Krakowie — kawalerem. Jest tu tak dużo pięknych pań i do tego gustownie (w porównaniu do innych miast) ubranych, że doprawdy — jako chory na serce — byłbym w wielkim niebezpieczeństwie.

— Co Pana najbardziej zdziwiło w naszym kraju?

— Fakt, że mimo stosunkowo niskich zarobków, ludzie dają sobie jednak jakoś radę i że nie widać nędzy, o której tyle się mówi na Zachodzie.

— Czy można być na tyle niedyskretnym i zapytać się, jakie pamiątki zabiera Pan ze sobą do Wiednia?

— Oczywiście. Wiele Waszych wyrobów ludowych, puderniczek dla żony, kilka książek i albumów, papierosy dla naczelnego, no i — rzecz zrozumiała — butelkę ekspozytowej dla kolegów. Poza tym wiele miłych wspomnień i wrażeń.

— Kogo zaprosiłby Pan w odwiedziny do Wiednia?

— Wszystkich tych, którzy mi okazali tyle dobrych chęci i życzliwości, a niezależnie od tego kelnerów i obsługę hotelową. Mam nadzieję, że wiele by się u nas nauczyli...

Rozmawiał: A. GŁOWACZ



ANDRZEJ KLOMINEK

- ✦ Dla dorosłych
- ✦ Sir Winston i pokój przez strach
- ✦ Nie miejmy żadnych złudzeń
- ✦ Makabryczny rachunek
- ✦ Wystarczy sześć
- ✦ Równowaga na krawędzi

Artykuł ten będzie dla dorosłych. Tylko takie chcemy zamieszczać w tej naszej całotygodniowej rubryce, w której... Ale lepiej, zamiast zapowiadać programowo, co w tej rubryce czytelnik znajdzie, przystąpmy od razu do rzeczy.

Pomówmy na początek o sprawie, która dla wielkiej polityki międzynarodowej ma dziś znaczenie kluczowe. Czytelnikom o słabych nerwach skłonni jesteśmy radzić, aby w tym miejscu skończyli. Będzie bowiem mowa o sprawach makabrycznych i groźnych, o ocenie możliwych skutków współczesnej wojny i o pewnych wpływających stąd wnioskach.

Kiedy Winston Churchill formułował w 1953 r. teorię „pokoju przez strach”, powiedział, że zanoszą się na historyczną zmianę w dziejach ludzkiej społeczności; wojna, która w całej dotychczasowej historii była ostatecznym instrumentem polityki, teraz traci swą przydatność. Sięganie do tego instrumentu staje się niemożliwe, gdyż w współczesnej wojnie prowadzonej przy pomocy broni masowej zagłady nie byłoby zwycięzcy i zwyciężonego, a jedynie dwaj samobójcy.

Niedawno znów, uczeń Churchilla, premier Macmillan wygłosił taką oto opinię: „Nie miejmy żadnych złudzeń: w dzisiejszych czasach siły wojskowe nie są przeznaczone do prowadzenia wojny — zadaniem ich jest zapobiec jej. Nie będzie już więcej takich kampanii, jak bywało poprzednio, kiedy pod koniec długiej i wyrównanej walki osiągnęto zwycięstwo. Totalna wojna, może oznaczać jedynie totalne zniszczenie”.

Nie są to tylko słowa, o jakie nie trudno politykom — amatorom przy kawiarnianym stoliku. O tym, że teza ta stała się n a p r a w d e

podstawa strategiczno-politycznych koncepcji brytyjskich, świadczyłby fakt, że w toku kompletnej reorganizacji brytyjskich sił zbrojnych. Redukuje się siłę armii lądowej, zapowiada się zniesienie obowiązkowej służby wojskowej, na złom idzie wielka część nawet starych okrętów brytyjskiej floty. Trzonem sił zbrojnych staje się lotnictwo oraz pociski rakietowe zaopatrzone w ładunki atomowe i wodorowe. One to mają stanowić narzędzie „zmasowanego odwetu” i gwarancję, że w obliczu groźby takiego odwetu przeciwnik nie odważy się zaatakować...

Posługujemy się przykładem Wielkiej Brytanii, gdyż najgłośniejsze teraz o reformach wojskowych Macmillan i minister obrony Sandysa (nawiasem mówiąc zięcia Churchilla). Ale przecież Wielka Brytania nie jest głównym mocarstwem atomowym — i wiadomo, że główne mocarstwa atomowe z mniejszym hałasem, ale również dostosowują się do założeń tej nowej koncepcji. Oczywiście takie przedstawienie się trwać musi czas pewien. Okres obecny jest okresem przejściowym i powszechnie uważa się za pewnik, że niezadługo podstawową siłę zbrojną wielkich mocarstw stanowić będą ich „siły odwetowe”; bomby jądrowe przenieszone z ponaddziesięciokilometrową prędkością przez pociski dalekiego zasięgu oraz przez dalekoduszowe samoloty. Te ostatnie zresztą prawdopodobnie w ciągu najbliższych 10 lat staną się bronią przestarzałą, która ustąpi miejsca pociskom rakietowym zdolnym dotrzeć w ciągu pół godziny do każdego punktu na kuli ziemskiej.

Przeważa też opinia, że te bronie albo już osiągnęły albo osiągną w najbliższym czasie **absolutną** siłę niszczycielską. A to właśnie prowadzi do wniosku, że nieograniczona wojna nie może być już instrumentem służącym do osiągnięcia politycznych celów.

Co to znaczy absolutna siła niszczycielska? Tu właśnie kolei na makabryczny rachunek.

Bomby atomowe, zdolne zniszczyć duże miasto (Hiroszima) gromadzone są od lat dwunastu, bomby wodorowe, z których każda burzy wszystko w promieniu 15 kilometrów i rozsiewa śmiertelny radioaktywny pył w promieniu ponad kilometrów — od lat blisko pięciu. Ile może być tych bomb? Oczywiście stan ich zapasów jest najsurowiej strzeżoną tajemnicą, ale naukowcy, opierając się na dostępnych danych, twierdzą, że orientacyjnie zapas bomb atomowych w USA i ZSRR wyraża się obecnie liczbami pięciocyfrowymi, a bomb wodorowych — trzycyfrowymi. (Wielka Brytania jest mniej zasobna w te straszliwe instrumenty zniszczenia).

Do przenoszenia tych bomb na terytorium przeciwnika służą samoloty lub pociski kierowane. Te ostatnie posiadają dziś prawdopodobnie zasięg przekraczający 2.500 kilometrów, a zbudowanie pocisków międzykontynentalnych, zdolnych praktycznie biorąc — dotrzeć do każdego celu na terytorium potencjonalnego przeciwnika jest już tylko kwestią czasu (rok? dwa lata? pięć lat?). Zarówno w tej dziedzinie, jak i w dziedzinie lotnictwa główne mocarstwa atomowe są wedle zgodnej opinii ekspertów mniej więcej jednakowo zaawansowane. Ich możliwości są mniej więcej jednakowe; mogą w z a j m n i e zadać sobie śmiertelne ciosy. Co więcej; n i e m a widoków zmiany tej swoistej „równowagi sił” przez dalszy wyścig zbrojeń.

Dlaczego? A no, sprawa jest prosta; nawet przez najdoskonalszą obronę przedrzeć się zawsze pewna ilość atakujących samolotów, nie mówiąc o rakietach. I ta „pewna ilość”, którą z a w s z e znajduje drogę do celu w y s t a r c z y najzupełniej, aby dokonać dzieła zniszczenia.

Posłużmy się konkretnym przykładem; zdaniem naukowców wystarczy 6 (s z e ś 6) dobrze ułożonych w wielkie ośrodki miejskie bomb wodorowych, aby sparaliżować kompletnie gęsto zaludnioną Wielką Brytanię. Przypuśćmy, że Wielka Brytania atakuje tylko 200 samolotów i rakiet. Przypuśćmy, że tylko 10 proc. z nich osiąga celu. To najzupełniej wystarczy...

Nielepiej wygląda (albo wyglądać będzie już niedługo) sprawa krajów, których warunki geograficzne ze względu na rozległość ich terytoriów, są korzystniejsze. Dla zadania im śmiertelnych ciosów, trzeba więcej niszczycielskich broni — ale pamiętajmy o tych kilkunastu, czy nawet kilkudziesięciu t y s i ą c a c h bomb atomowych, które zdaniem ekspertów spoczywają w arsenałach każdego z wielkich mocarstw atomowych; przecież każda z tych bomb jest zdolna zniszczyć duże miasto! Pamiętajmy o tych setkach posiadanych dziś przez wielkie mocarstwa dalekoduszowych bombowców, o rakietach nawet nie mówiąc...

No, a jak wyglądają szanse niespodziewanego ataku? Czy ta sytuacja nie może stać się pokusą dla jakiegoś zbrodnictwa, by dokonać nagłej napadzie i sparaliżować ofiarę zanim ta zdąży uruchomić swój aparat odwetowy? „Takie idee są częstą mrzonką” — pisze znany brytyjski ekspert wojskowy Liddell Hart, gdyż żaden napastnik nie może liczyć, że uda mu się odnaleźć i unieszkodliwić w ciągu dosłownie pierwszych godzin rozsieane na ogromnych przestrzeniach i zamaskowane lotniska oraz wyrzutnie rakietowe przeciwnika. Mocarstw atomowemu — ofierze ataku zawsze zostanie dość czasu i środków, aby odplacić agresorowi tym samym i pociągnąć go za sobą w otchłań zniszczenia.

To są wszystkie sprawy straszne, potworne — ale chowaniem głowy w piasek byłoby udawanie, że ich nie ma, że wszystko jest tak, jak było 10 i 20 lat temu. Nie jest tak. Świat, w którym żyjemy jest dziś inny, inne są elementarne możliwości działania mocarstw innymi kategoriami trzeba myśleć o wojnie i pokoju. Pokojowe współistnienie jest dziś czymś więcej, niż pożądanym życzeniem. Jest logiczną koniecznością — bowiem alternatywą jest samobójstwo.

Czy to oznacza, że pokój jest automatycznie zabezpieczony? Oczywiście nie. Oczywiście Churchillowski „pokój przez strach” jest chwiejną równowagą na krawędzi przepaści. W dodatku logiczny wniosek, że wojna nieograniczona stała się bezużytecznym absurdem, nie odnosi się do „małych wojen” o ograniczonym zasięgu i prowadzonych konwencjonalnymi broniąmi. Awantura sueska była tego wymownym przykładem — a wiadomo, że każda taka awantura jest czymś w rodzaju igraszek z ogniem w magazynie prochu.

Ale też właśnie awantura sueska była przykładem, jak inaczej niż dawniej podchodzi się dziś do konfliktów międzynarodowych. Rany boskie! Przecież w okresie przedatomowym z takiego konfliktu, jak sueski, mielibyśmy wojnę światową bez ratunku!

Czy z równowagi nad brzegiem przepaści i „pokoju przez strach” narodzi się pokojowe współistnienie oparte na wzajemnych realnych gwarancjach i rozbrojeniu? To sprawa ogólna, o której wiele trzeba by mówić i o której nie raz jeszcze na tym miejscu mówić będziemy. W każdym razie zapamiętajmy; w kwestii znalezienia takich gwarancji, które by zapewniły pokój i poczucie bezpieczeństwa, działa coś więcej, niż subiektywna dobra, czy zła wola ludzi wyrażających przeciwstawne klasowe i polityczne interesy. Działa obiektywny układ sił i stosunków, różny zasadniczo od tego wszystkiego, co dotąd w świecie bywało.

JASZCZUR I LILIANNE

OPOWIADANIE

I.

Cały batalion wyjechał dzisiaj na kurwy do Mossulu i kapral Antoni Cwojka został w niedzielę po południu — sam. W Mossulu, a nawet w Bagdadzie był już parę razy, ale jakoś mu te wizyty w dużych miastach nie przypadły do smaku. Kina — okropne, Arabki świnie, i wciąż to samo, nie dawały mężczyźnie żadnego pola do inicjatywy. Nie lubił być traktowany jak chory w lazarecie, któremu podtyka się basen, a ta miłość tak wyglądała — pielęgniarstwo. Wolałby dziewczynę, choćby nawet jeszcze brudniejszą, ale taką, z którą się trzeba trochę namęczyć. Dzisiaj powiedział więc kolegom, że zostaje, musi dwa listy napisać, co przy tejże upale wymaga czterech godzin, i ma — książkę.

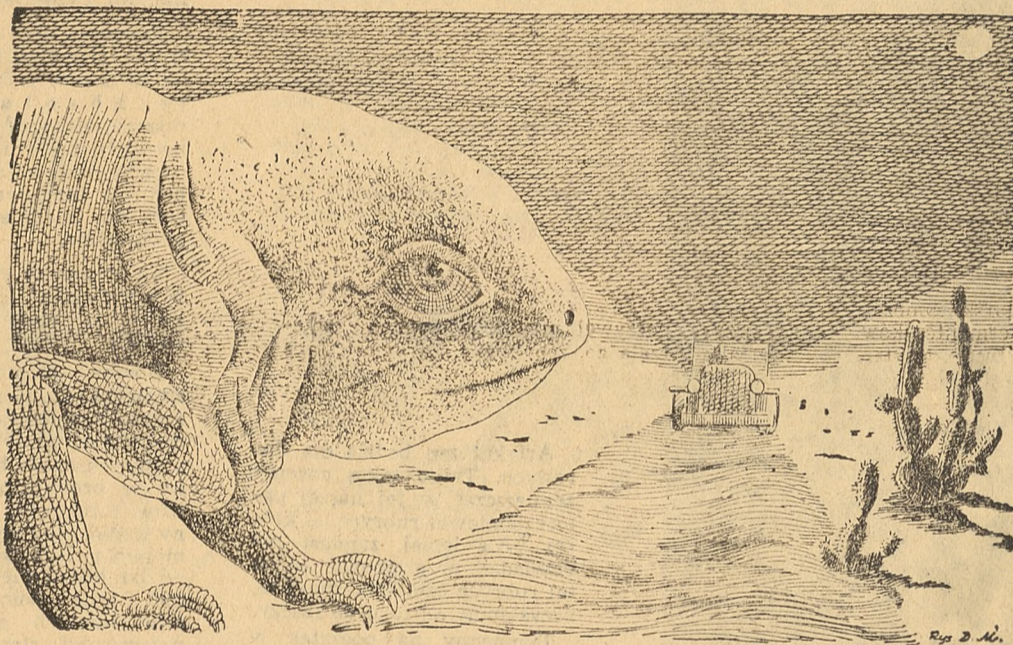
Kiedy ostatnie wozy zawracały na szosie o dwieście metrów od obozu, zakurzyły białym pyłem i wsiadły w powietrze mieniące się jak mika, zawrócił do namiotu, momentalnie zrezygnował z pisania listów, pisać — to byłoby coś nieludzkiego, i ciężko usiadł na skrzynce przed włazem. Odsapnąwszy podniósł się, położył po książkę schowaną w kuferek, siłą zgrabną książeczkę z czerwonym brzegiem Pocket Book of modern American Authors, i zaczął się urządzać na przyjemne spędzenie popołudnia. Wyciągnął leżak, kopnął go na odpowiedni zab w ramię, zapewniający najdogodniejszą pozycję, i ustawił pod daszkiem. O daszku trzeba powiedzieć osobno. Był to baldachim dwuspadowy z sykomy, twardszej chyba od dębu, postawiony na słupku i opatrzone okragłą półeczką, biegnącą dookoła na wysokości metra od ziemi. Za materiał do tej budowli zapłacił Arabowi 12 dy-narów i potem kłął go w żywy kamień przy obróbce, gdyż łatwiej byłoby pracować w żelazie i blasze, niż pilować i ciąć do ażłactwie pieroństwo. W dodatku koledzy próbowali z niego pożartować, kiedy się sadowił w wymienionym cieniu własnego pomysłu i wykonania. — Antos, wylaż, mówili — spod tej kapliczki, bo wyglądasz jak Jezus Chrystus przy drodze. — Wy sobie gadajcie, wolno, a potem niejedną jeszcze korzystał z dobrodziejstwa daszka, ma się rozumieć — za pozwoleniem właściciela. Otóż, pozostając przy daszku — syfon z wodą sodową w bukłaku z wielbłądziej sierści i szklankę umieścił na półeczce, dołożył pomarańczę i pół tabliczki słonej czekolady z witaminami — wszystko w zasięgu ręki z leżaka, po drugiej zaś stronie na skrzyni po amunicji ustawił patefon i płytotekę. Pięć płyt z Diukiem El-lingtonem and his Orchestra jako najlepszą — na wierzchu. To byłoby na razie wszystko.

Wyciągnął się na leżaku, w szortach i siatkowej koszulce, obuty w sandały gimnastyczne, rozłożył książkę na podolku, odsapnął, przymknął oczy, otworzył je, zlepił, spojrzał na pustynię zlepką pofalowaną, rozciągniętą w gęstym powietrzu, i aż go zbrzydziło, spojrzał na obóz i zaczął dumać — wszystko jednak widząc dokładnie. Spoza miasteczka namiotów na lądzie placu ćwiczebnego wystrelił w turkusowe niebo maszt z wyciągniętą flagą narodową, która tym się różniła od zwykłej biało-amarantowej, że miała wyhaftowany ich „bądź” dywizyjny tuż przy lince i ten bądź przewijał się teraz w słabym podmuchu na szlaczalych skrętających materiał. W ulicę, widocznej stąd na przestrzał, w odległości większej niż dwieście metrów podobny do niego maruder mył się oszczędnie powolnymi ruchami, czerpiąc wodę na twarz siłownikami garściami z czerwonej miednicy. Niepodał nagle z krzykiem wyskoczył na dach namiotu i zaraz zleciał kogut przywiązany do palika na sznurku, chudy jak jaszczab, ale podkiermiany forsownie przez kucharza na rożół dla gospodarczego szefa batalionu.

Zamknął oczy, otworzył oczy. W każdym namiocie, tak jak się tu roily nieprzeliczone, mieszkało po dziesięciu żołnierzy, ale jego własny był wygodniejszy, bo choć równy tamtym wielkością, przeznaczony był tylko dla dwóch, dla niego — kierowcy, oraz dla pomocnika Józefa Sterna, który powiódł właśnie chłopaków do miasta. Ich namiot przedzielala na pół celtowa plachta, a za nią w garażu znajdowały się dwa samochody — maszynowy łazik na gaśnicach i lekki jeep, kochana maszynka. Bramę garażu tworzył po drugiej stronie fartuch do podnoszenia, zapinany na zatraski i kłódke. Byli panami dwóch pojazdów, a także, wyjechać sobie w czas wolny i jeszcze zabrać kogo im się podobało, dziewczynkę — mogli, i nikt o to zle-gosłowa nigdy nie powiedział, a benzyny było do cholery i trochę, pilnowali tu przecież angielskiej nafty.

Zdecydował się czytać. Po dłuższym prze-bieraniu wybrał spośród opowiadań „Powrót do domu” Saroyana i począł się wgrzyzać w obcojęzyczny tekst. Angielszczyznę kuchenną, żeby się tak wyrazić, miał już dostatecznie opanowaną, ale tutaj natrafiał na niecodzienne wyrażenia, których sens trudno było nieraz odgadnąć. Wszyscy w jednostce do-ktliwie odczuwali brak angielsko-polskiego słownika, nie do zastąpienia przecież hote-lowo-wojażowymi rozmówkami, których kilka egzemplarzy płaćło się wśród ludzi; armia nie była przygotowana na dołączenie się nowego kombatanta w tym zakątku świata, w Mezopotamii, i ktoś by mógł przypuszczać, że szoferowi zachce się pomocy literatury w niedzielne popołudnie, przeznaczone — jak obyczaj nakazuje — na kurwy i kino.

Antoni pociał się, przystawał w czytaniu, mrużył powieki, zagryzał czekoladę, raz nawet założył płytę, której piękny motyw trąbek odwiódł go całkowicie na długą chwilę od lektury. Mimo przeszkód, po pewnym czasie i jakkolwiek z białymi plamami — obraz zarysowany przez autora zaczął mu wyraźniej stawać przed oczyma. Ktoś, młody czło-



wiek, wraca po wielu latach nieobecności w rodzinne strony odwiedzić swój dom. Staje opodal studni publicznej i parzy, jak inny jakiś mężczyzna czerpie z niej wodę. Prosi nieznajomego, aby pozwolił mu jej skosztować, wody — która we wspomnieniu — jest najchłodniejszym, najbardziej krystalicznym i orzeźwiającym napojem świata, i pije, do przesyty, oblewając się z garncu po brodzie, szyi, piersi, a woda rzeczywiście nie ma w smaku nic sobie równego, jest czystą, boską ambrozją.

Antos Cwojka odłożył znowu książkę zmęczony takim samym pragnieniem, a potem zerwał się energicznie do syfonu na półce i nacisnąwszy jedną ręką hebelkę strzyknął w nadstawioną szklankę. Wypił, ale to był tylko gazowana woda Collington and Wurmser, z niezrozumiałymi wschodnimi zygakami w dole etykiety jak wszystkie napoje chłodzące w dorzeczu Eufratu i Tygrysu, a dom — DOM wisi w przestrzeni, w powietrzu jego wyobraźni oddalony o wiele tysięcy mil i trzy lata — zupełnie jak fata morgana.

Klaxson beknął na drodze. Antoni podniósł głowę, powiódł wzrokiem za ładownym samochodem z planeką, zmierzającym w szybkim tempie z Mossulu do Kirkuk, i długo odprowadzał rosnący pióropusz pyłu, który leniwie osiadał na żłbiałach przydrożnych agawach. Skończyło się, rozwleczony obłok niczego już więcej nie obiecywał, trzeba więc było chęć nie chęć powrócić oczyma do książki. Duży sęp z podgiętymi łapami, jakby na kłęczkach, poślizgnął uroczysto w stronę pustyni, kogut wrzasnął znowu na niesprawiedliwość losu. Szczere, głębokie ziewnięcie odezwowało się żołnierzowi aż pisakiem i szumem w uchu.

Czytał i po długim i owocnym trudzie doszedł do zakończenia noweli, w którym ten sam młody człowiek zakradłszy się cichaczem, dla sprawienia niespodzianki, pod okno swego domu, pragnie przez chwilę i w samotności nacieszyć oczy jego utajonym życiem. Wdził swoich rodziców, rodzeństwo, krzątających się — stąd, zza szyby — z ustami zapieczętowanymi milczeniem, jakby się oglądało kawałek niemego filmu bez muzyki. Każdy gest poruszających się tam osób jest

mu znany, ale jak gdyby po raz pierwszy odkrywał nędzę tego wnętrza i beznadziejność każdego kroku, bez względu na to, czy będzie intencją miłości, czy swarywym odruchem. Czy warto było po to powracać?...

Warto, warto!... krzyknął Antos Cwojka w duchu, ale mądrzejszy od niego pisarz, jak mu tam? — sprawdził na pierwszej karcie opowiadania: William Saroyan rozstrzygnął inaczej — że nie warto było i nie należało... Młody człowiek tak samo cicho jak zakradł się na palcach, odstąpił od okna, by udać się w powrotną drogę tam, skąd przybył.

Smutne, psiakrew, smutne jak na niedzielne popołudnie. Cwojka cisnął tomik ze złością na skrzynię obok patefonu i uchwycił się garściami podpórce pod łokcie, żeby przedko coś postanowić i nie dać się długo puścić nieproszonym przeżyciom. Nie po to człowiek książki czyta...

Spojrzał na niebo. Zróżniewało cokolwiek i skosem po jego niewymiernej, puszystej włóściwości rozciągały się delikatne szlary zamglenia. Upał żelzał i widać było, że nie nabyt już długi październikowy dzień chył się wyraźnie ku zachodowi.

Wstał z leżaka i pewnym krokiem poszedł do garażu za namiotem. Otworzył kłódkę kluczykiem, z którym nigdy się nie rozstawał, porozpinał zatraski i odrzuciwszy fartuch na daszek napiętego brezentu, z rękami w kieszeniach, przez chwilę z lubością przypatrywał się kształtom swego faworyta. Jeep był pomalowany na kolor ochronny, miał nowe ogumienie i fertycznie podwinęte błotniki, korpus płytki i paski jak amfibii, chociaż był samochodem wyłącznie lądowym, świetnie leżącą w ręce kierownicę i cztery siedzenia, wygodniejsze niżby się można po takim chacie pustynnym spodziewać. Mam ochotę się przejechać — to mówił uśmiech Cwojki i taksujące oczy — ale wpiętrza trzeba jeszcze coś koło niego zrobić. Wiedział, że peklą mu porcelanka w jednej świecy, zawrócił więc do wjazdu po skrzynkę z narzędziami, szmatami i kilkoma kartonami małych wymiennych części. Podniósł maskę, porozprowadzał palcami kable gestem podufale-przyjacielskim, tak jak się znajomego sympatycznego chłopaka głaska po głowie, dobrał się do bloku i wykręciwszy świecę raz ją jeszcze z wszystkich stron poglądał. Oczywiście — świeca do kitu; wyjął no-

ciem passatu i wkrótce możliwa będzie dobra jazda.

Zniknęła wszelka zielen, wszelki kolor poza bladym niebiesko-różowym niebem i rozmaitymi odcieniami piasku, która to barwa na palecie zowie się ugiel jasny. Tylko cienie wyglądały jakby mokre i prawie brunatne. Garbaty ten ocean zastąpił z uniesionym głosem niegdyś grzbieciem i ostrą krawędzią, jak czub martwej fali. Cienie kładły się już długie, przedwieczne, i na obłych wzniesieniach tworzyły wespół ze światłem i grozkiem piasku delikatną karnację, jakby ludzkiej skóry. Któraś kotlinka przedstawiała się Antosowi Cwojce zupełnie jak rozchylone kobiece uda i zagłębione podbrzusze. — Bierz mnie — powiedział sobie w duchu — kto wie, czy nie trzeba było jechać do Mossulu. — I żeby się ostudzić dodał gazu marzynie.

Powietrze gęste i dotykające, zafurkło i odtąd szumiło mu w uszach bez przerwy, ocierając się o twarz i szyję na przemian to gorętszymi, to chłodniejszymi strugami. Droga, którą obierał, melała się po obu stronach maski, jak otępy syjące się z młyna. Wściekła, z lekka kołysząca jazda. Miał już piętnaście mil na liczniku i pchał się dalej, chyłając tylko czoła coraz bardziej, bo mu słoneczko zaczęło zaglądać w oczy. Przekreślił zielony, celofanowy daszek na szybie i uadził się wygodnie.

Jechał tak prawie do zachodu. Doskonale mu to zrobiło. Nagle przystanął, zgasił silnik i wysiadł z wozu. Woda w chłodnicy bulgotała jeszcze chwilę i przycichła. Wyciągnął kompas z kieszonki i na wszelki wypadek sprawdził kierunki. Słońce — słońcem, a można się pomylić. Uspokoił się — wszystko w porządku, ale raz już zrobiwszy przystanek, stracił ochotę do dalszej jazdy przed siebie. Wokół panowała przytłaczająca cisza, którą sam tylko mógł przerwać i zbuzryć — poskrobać sandałem w piasek albo kopnąć w opone. Kopnął dwa razy w opone. We dwóch ze swoim jeepem, który przecież wydał jakiś głos, poczuł się mniej samotnie. Słońce na zachodzie urosło i nabierało wypukłości, węglistego, coraz bardziej czerwieniącego żaru. Należało zawrócić.

Wsiadł i teraz kierując się pilnie kompasem, już nie w tak zawrotnym tempie, odbywał drogę powrotną. Gdy dojeżdżał do najbardziej wysuniętych w pustynię kęp ziołoności, teraz szarej, zmierzach już panował te-py dla oczu, ale on wolał nie zapalać światła, lepiej w ten sposób wyczuwając kierunek. Widział na prawo i lewo każdy krzak wyraźnie i zawsze znajdował szlak między nimi przez środek.

Nagle kształt jakiś szastnął się w bok od koła, nie mógł to być krzew ani kępa trawy, bo to coś — skoczyło, a jego szoferskie oczy nigdy nie ulegały halucynacjom. Przyhamował i zwrócił przód wozu w domniamanym kierunku. Wszystko stało wokół niego, owszem — były dwie, trzy agawy o parę metrów przed maską, ale żadnego ruchu więcej i żadnego odgłosu poza stukaniem motora na wolnych obrotach. Pchnął lewarek na jedynkę i podjechał. Jeden z trzech krzewów podskoczył i okazał się teraz formą podługową, zakończoną w dwa spłce. Musiał osłupieć na chwilę, bo stracił ją sprzed oczu. Zapalił szybko reflektory i począł za tym żywym stworzeniem uganiać, jeżdżąc tu i tam po dość ogołoconym terenie, dającym szoferowi małe szanse do ucieczki. Raz już reflektor ześliznął się po czymś ruchomym, kierowca zatoczył półkoło, trafił w próżnię, ale nie dał za wygraną. Zwierzak poruszał się, jak widział, niezbyt szybko, skoro dotychczas nie zdołał się oddalić. Jert, jest! Ty tedy, a ja tedy! I rzeczywiście złapał go między dwa reflektory: szmaragdowego jaszczura z białym podbrzuszem, ustawionego teraz paszczą do światła i sparaliżowanego blaskiem. Oczka małe jak paciorki, migotały rubinowo i nie mogły się uwolnić od pociągającej siły żarówek.

Antoni wyskoczył z wozu i zdecydował się od razu. Tylko czym go przykryć? I już wyszarpnął spod tylnego siedzenia swój płaszcz, zawsze tam zwinięty na nocną jazdę i chłody. Gwałtownym ruchem zarzucił go na ofiarę, ale potem drgnął wewnętrznie, czując ruchomy, sprężysty kształt pod sobą, bo to jednak płaszcz, choć piękny i — jak wiedział — niegroźny. Jaszczur oderwany od ziemi zamachał tylko ogonem i uspokoił się. Antoni owinął go ciasniej, także spod spodu, i zaniosł do auta. Ciężka sztuka, będzie miał prawie metr długości, z ogonem. Wsunął to-ból między tylne a przednie siedzenie, trochę pod fotel, wskoczył za kierownicę i gaz! Od czasu do czasu oglądał się tylko, czy węż nie wylaził. Widać światła wojkowego miasteczka, dojechanie było kwestią dziesięciu minut.

En carrie re wpadł przez brame, przeleciał pusty jeszcze obóz i zakreślił przed swój namiot. Potem, po sekundzie namysłu, pchnął samochód do tyłu i wprzód i stanął z reflektorami skierowanymi na wejście. Wsiadł i pieczołowicie, jak dziecko w zawiniątku, wyniósł to-ból spod siedzenia do środka namiotu. Jaszczur ruszał się, nie zasłabił wcale mimo braku powietrza. Antoni rozwinął go z płaszcza na ziemi, jaszczur chybnął się na krzywe rozkręcone łapy i spojrzeli na siebie — mężczyzna, stojąc, z góry a ten drugi dyktowałny osobnik od dołu, ukazując na dolnej opuszczonej szczęce zdrowe różowe dziąsła i koloniję drobnych iglastych ząbków. Żaden z nich nie miał mądrej miny. — Serwus — powiedział człowiek — jak się czujesz? Możliwe, że się zaprzyjaźnimy. — Jaszczur stał jeszcze chwilę nieruchomo, zafascynowany puklerzami światła od samochodu, ale wkrótce odwrócił się do nich bokiem i zaczął obchodzić wkoło sprawdzając przedmioty we wnętrzu — dwa łóżka, otwartą skrzynię z nieokreślonymi łachami, płaszcz Józia Sterna zawieszony na drążku, zamknięty patefon. — Widzę, że jesteś rzeczow-

Wy — powiedział mężczyzna do siebie pod nosem — i nie znajdujesz powodu do paniki. To dobrze. Znaczący, że będziemy się mogli ze sobą ułożyć... — Śledził z uwagą powolne, poważne ruchy jaszczura i harmonijne skrepy ogona, który mu pomagał do utrzymania równowagi w chodzie, i coraz węższy ku końcowi, opatrzone był na wierzchu rzędem kręgów, przypominających trochę łupę ananasa. Zgrubienia na profilu grzbietowym stawały się też ku końcowi coraz ostrzejsze, aż do siecznej kostki na szpicu.

— Możliwe, że przerwałem ci kolację — odezwał się znowu Antoś Cwojka, napatrzysz się dowoli — moją rzeczą gospodarza jest dać ci dobrze zjeść. — Wysunął kuferek spod łóżka i wydobyl stamtąd puszkę beefu. Nożykiem do konserw szybko objechał denko, odgiął i zawartość razem z sosem wysypał na miseczkę. Postawił ją na środku i patrzył, co z tego wyniknie. Jaszczur zbliżył się do pokarmu, dotknął mięsa paszczą, obtył, bez wstępu, ale też nie zabierając się od razu do jedzenia. Widocznie — nie to było chwilowo najważniejsze.

— Mądry jesteś, cholero, taktowny; tylko żebym ja wiedział, co takie bydlę najchętniej zje!

Miał z nim zabawę do późnego wieczora. W końcu jednak trzeba było pomyśleć o samochodzie, bo szkoda akumulatora, żeby się wyczerpywał. Zapalił więc dwie świece i pomieszczał tak, żeby wszędzie lażący gad nie mógł ich postrącać. Po czym zatoczył wóz na swoje miejsce, powrócił, i usiadłszy na łóżku zabrał się do obierania zapomnianej pomarańczy. Sam się posilił, bo już zgłodniał, i jedno czy dwa dzwonka wrzucił do otwartej

paszczy jaszczura, który przeknął je bez wahania. — Smakowało? Ty już mnie zadowol, nie dam ci zginać.

Wtem szum jakiś powstał na drodze za obozem, zdaje się samochody wracające z Mossulu zajeżdżały już jeden po drugim i wkrótce zgłask wielu głosów obejmował coraz to bliższe przejścia i namioty.

Cwojka wyskoczył przed wejście i potem coś sobie przypomniał, zawrócił i zdmuchnął świece. Następnie wyszedł na poszukiwanie Józka Sterna, którego koniecznie chciał złapać po drodze do namiotu. W uliczce ten i ów go potrafił, wszędzie rozlegał się tupot butów, wesole nawoływania i śmiechy, zapalano światła we wnętrzach, zgrzani i zadowoleni żołnierze wracali z niedzielnej przepustki. Już z daleka zobaczył sylwetkę Sterna, przekrzywioną furażerkę, kędzierzawy łeb i ciało niesłone zawadiackim krokiem.

Stern zobaczywszy go także, machnął w górę ręką na powitanie.

— Żałuj, żeś nie pojechał! — Wydrenowany był jakiś i zmęczony, to widać, ale z niebywałą fantazją. I już po drodze zaczął mu opowiadać jaką fajną miał dziwkę.

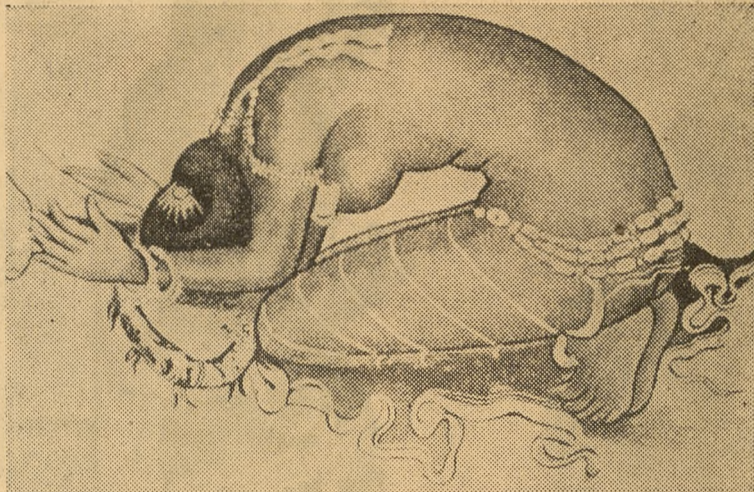
— Mamy nowego lokatora — przerwał mu Cwojka.

— Niby kto?

Stanęli przed namiotem i akurat tyle było światła w powietrzu, że para blisko osadzonych rubinowych oczek zdołała błysnąć ze środka. Stern kurczowo wydobyl latarkę, zapalił i zobaczył. Drgnął przy tym.

— A niech cię szlag trafi!

(Ciąg dalszy nastąpi).



Z HINDUSKIEJ POEZJI MIŁOSNEJ AMARU

(VI w.)

PIERŚCIEŃ

— Jakie twoje imię?
— Vadiha.
— Jesteś piękna.
Drobna i drżąca, zaśmiała się.
— Chcesz? — rzekł.
Szepnęła:
— Kocham cię...
Uniósł ją. Była tak lekka, jak naręcze kwiatów.
— Co czynisz? Co czynisz? — krzyknęły towarzyszkę.
— Zostaw nam Vadihę!
Rzuciła im swoje ciepłe pierścienie.

MÓWIŁEM CI...

Mówiłem ci: „Mógłbym cię uczynić szczęśliwą...”
Powtarzałem ci nieśmiertelne słowa, które usypiają niepokój kobiet, a ty śmiałaś się do mnie, jak małe dziecko uśmiecha się do swego snu.

DESZCZ.

O deszczu, dzięki ci! Tunika przylegała do jej ciała, a lśniąca wodą tkanina uwydatniała znakomicie jej kształty. Byłaś jak naga. Sanabavi!

Ale któż rozpromienił twoje male, drżące piersi, gdy zakwitła tęcza?

NIESPRAWIEDLIWOŚĆ.

Miłość twoja dla mnie, o Gayatri, jest bardziej niestała niż odbicie palmy w zwierciadle jeziora prutego łodzi.

I choć jezioro odzyskuje czystość zwierciadła, gdy znikną wszystkie łodzie — serce twoje jest ciągle podejrzliwe, choć mi przebaczysz.

Przełożył

KAZIMIERZ BUKOWSKI



E. Caldwell

ZA ZIELONYMI GÓRAMI

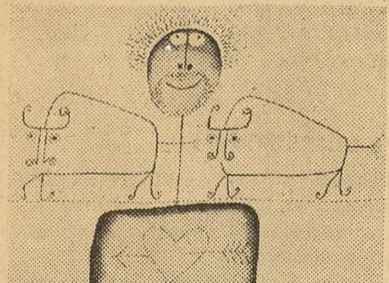
Nowela — tłumaczył J. Kydryński

Właśnie wczoraj przeczytałem sobie w bostońskiej gazecie, że najsprytniejsi ludzie w całym kraju pochodzą ze stanu Maine. Zawsze mówiłem i ciągle to mówię: Wybierzcie sobie dziesięciu chłopów z całej Ameryki, a ja postawię przeciw nim jednego Vermontczyka, którego sam wybiorę. Wybierzcie dziesięciu ludzi z każdego stanu, z jakiego chcecie, a wszyscy oni razem wzięci nie będą mieli tyle sprytu, co mój jeden Vermontczyk. Całe życie, z górą dziewięćdziesiąt lat, mieszkalem w stanie Maine, ale zawsze mówiłem, że jeśli trzeba wam trochę sprytu, znajdziecie go w Vermont. Bo cały nasz spryt pochodzi właśnie z Vermont.

Weźcie na ten przykład farmerów. Farmerzy z Vermont są tak sprytni, że czego się tkną, to robią na tym forsy, a farmerzy w innych stanach tylko tracą pieniądze. A dlaczego oni są tacy sprytni? Nie tak dawno temu był tużaj jeden taki farmer z Vermont: przyjechał ogromnym samochodem, dobrze się tu bawił i śmiał się z nas, tutejszych, że nie zarobiliśmy jeszcze dość forsy, żeby już przestać pracować, a może i co drugi rok pojechać sobie na Florydę. Zapytałem go, tego farmera z Vermont, jak to się stało, że on z farmy wyciągnął tyle pieniędzy.

A on mi powiada: Przyjacielu — powiada — sposób na wyciągnięcie pieniędzy z farmy jest taki: sprzedaj wszystko co się da; czego się nie da sprzedać, daj wieprzom; czego wieprze nie zjedzą, zjedz sam.

Jak mi to powiedział, rozumiem się i odjechał swoim wielkim samochodem, żeby popatrzeć na innych farmerów w Maine, jak w pocie czoła harują w polu, ponieważ nie mają dość oleju w głowie, żeby zrobić forsy i przestać pracować, a może



nawet raz na dwa lata pojechać w zimie na Florydę.

Ten wesół farmer nie był pierwszym Vermontczykiem, który go znalazł. Za moich młodych lat, jak mieszkalem nad rzeką Penobscot, znałem takiego drugiego.

Był to młody chłopak — zwał się Jake Marsk. Należał do tych dawnych Vermontczyków, którzy przybywali tutaj do stanu Maine, jako poganiacze zaprzęgów wołów, zanim jeszcze zbudowano kolej przez góry. Ten Jake Marsk to był spryciarz, jakiego nawet w Vermont łatwo nie znajdziesz. Wciąż przyganiał tu i pędził z powrotem swoje woły, obciążowane towarami. W tych czasach była to długa trasa, bo pomyślcie tylko, jak wolno te bydlęta ciągnęły i Jake musiał przejechać niejedną górę w tę i w tamtą stronę. Nie pamiętam już, ile czasu zabierała mu jedna podróż, ale trwało to długo, bo nie było wtedy dróg stanowych, tylko szlaki, dość szerokie dla zaprzęgu wołów.

Jake był chłopcem na schwał; lat miał — powiedzmy — dwadzieścia pięć, albo dwadzieścia siedem. I nie był jeszcze żonaty. Ale w niedługim czasie wpadła mu w oko młoda i ładna dziewczuszka, która gotowała mu jedzenie w pewnym domu w Bangor, gdzie wypadła mu postój między jedną podróżą, a drugą. Dziewuszka była w sam raz w typie Jake'a. Lubiła wchodzić do pokoju, w którym siedział, czekając na jedzenie i robiła się bardzo figlarna w jego obecności. Jake przeżywał okropne ręki kiedy się tak przed nim wdzięczyła, a czasem musiał nawet wychodzić z pokoju i przejechać się trzy lub cztery razy naokoło domu, żeby odzyskać panowanie nad sobą.



Ale ten Jake Marsk był człowiekiem ostrożnym i nigdy się na nic nie decydował, póki sto razy wszystkiego nie rozważył i nie ujrzał wszystkich korzyści po swojej stronie. Ale potem, kiedy już wszystko obmyślił, szedł na całego i zdobywał to, czego pragnął. Jak prawdziwy Vermontczyk. Myślę, że wszyscy ci dawni Vermontczycy byli tacy, w każdym razie tacy byli ci, którzy przypędzali tutaj, do stanu Maine swoje woły, a Jake nie różnił się od innych.

Ale ten Jake Marsk był człowiekiem ostrożnym i nigdy się na nic nie decydował, póki sto razy wszystkiego nie rozważył i nie ujrzał wszystkich korzyści po swojej stronie. Ale potem, kiedy już wszystko obmyślił, szedł na całego i zdobywał to, czego pragnął. Jak prawdziwy Vermontczyk. Myślę, że wszyscy ci dawni Vermontczycy byli tacy, w każdym razie tacy byli ci, którzy przypędzali tutaj, do stanu Maine swoje woły, a Jake nie różnił się od innych.

Ta dziewczuszka tak się na Jake'a uwzięła, że przez cały czas, gdy odpoczywał między podróżami, zamęczała go, żeby się z nią ożenił. Jake chciał jej, zgoda. Tego tylko chciał przez cały czas, kiedy tu był. Ale Jake, powiadam wam, potrzebował dużo czasu do namysłu. Rozwagał sobie tę rzecz dokładnie tak, jak wszyscy Vermontczycy, którzy poganiali woły. Zanim coś po sobie dał poznać, musiał być naprawdę pewien, że wszystkie korzyści będą po jego stronie. Przez razę sezonu wszystko sobie rozważał i w tamtym roku w ogóle nie zrobił dziewczuszcze żadnych propozycji.

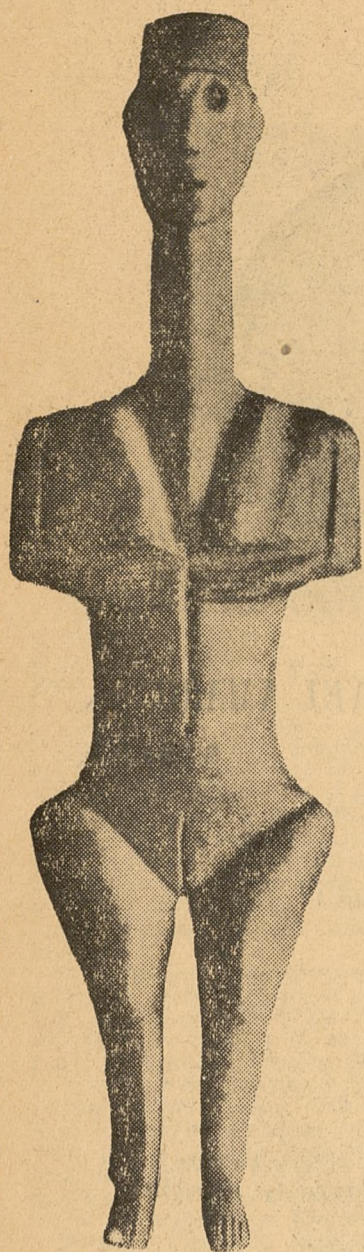
Następnej wiosny, gdy ziemia odmarzła i Jake mógł odbyć pierwszą podróż przez góry, wstąpił do domu, w którym mieszkała ta dziewczuszka i powiedział jej, żeby była gotowa do ślubu, gdy on wróci do Bangor przy następnej podróży. Dziewuszcze bardzo to przypieczętowało do gustu. Przez całą zimę bardzo była o Jake'a niepokojna, bo zaudała sobie do serca wszystkie plotki, jakie powtarzano o tych poganiaczach wołów z Vermont. Ale kiedy Jake jej powiedział, żeby się przygotowała do ślubu, wiedziała, że dotrzyma obietnicy co do słowa i że przyjdzie i ożeni się z nią tak jak powiedział.

A więc Jake wyruszył z powrotem do Vermont ze swoim towarem, przybiecawszy, że ożeni się z dziewczuszką w tym samym dniu, w którym wróci do Bangor przy następnej podróży.

I dokładnie tak jak obiecał, wrócił, żeby się z nią ożenić. Poszedł wprost do jej domu, a ona już tam na niego czekała. Jake powiedział, żeby zaraz była gotowa do ślubu i poszedł poszukać pastora. Gdy wrócił do domu z pastorem, zawołał ją do pokoju, gdzie zebrali się goście, co chcieli obejrzyć sobie przebieg ceremonii.

Gdy dziewczuszka weszła do pokoju, w którym już był Jake i inni ludzie, Jake zerknął na nią i kazał jej wrócić do siebie na górę i zdjąć suknię. No, nie było w tym nic niezwykłego, ani zdroźnego, bo w owych czasach istniało w stanie Maine prawo, które mówiło, że mężczyzna może zawrzeć tak zwane „małżeństwo z wybiegiem”. Znaczyło to, że mężczyzna może kazać kobiecie zdjąć suknię, którą ma na sobie podczas ślubnego obrządku i w takim wypadku nie można go pociągnąć do prawnej odpowiedzialności za jej dawne długi i

(Ciąg dalszy na str. 9)



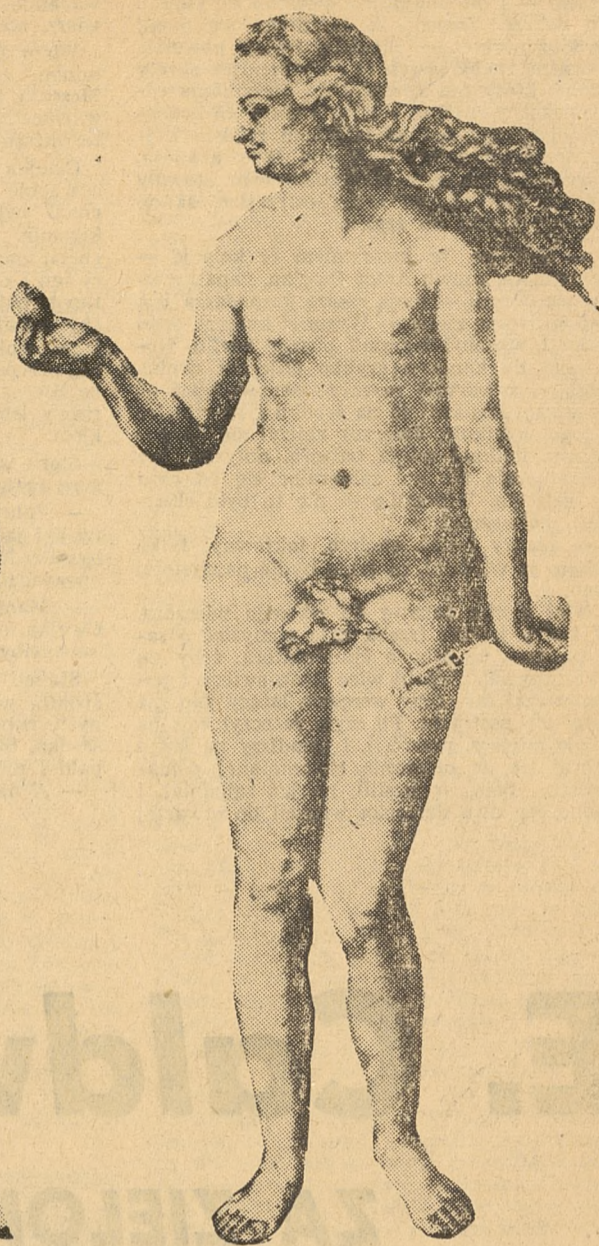
Prehistoria



Indie



Grecja

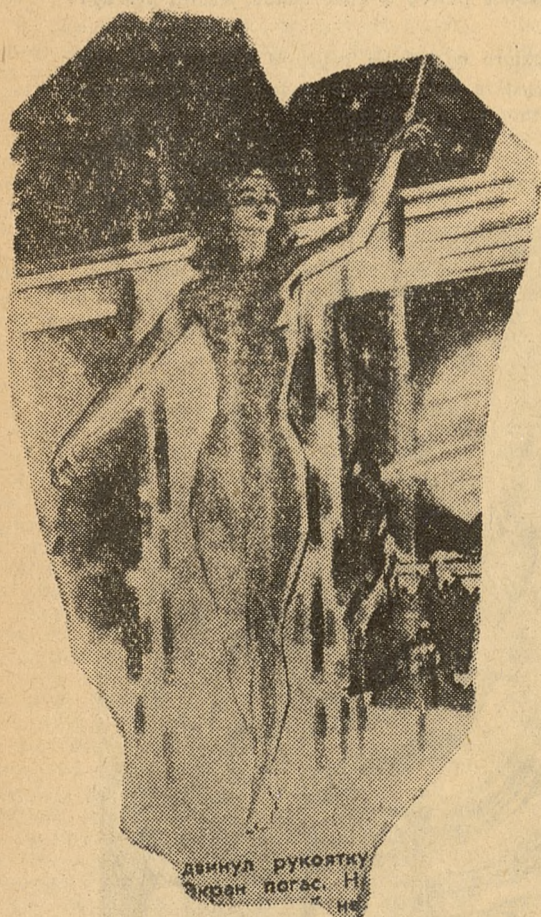


16 w.

Fakty Plotki Fakty Plotki Fakty Plotki Fakty Plotki Fakty Plotki Fakty Plotki

GLÓD I PŁODNOŚĆ

Rewelacyjnie i niewiarygodnie brzmią doniesienia uczonych z Uniwersytetu w Baltimore (USA). „Ludzie niedożywieni lub słabo odżywieni są płodniejsi od dobrze odżywionych”. Poddano fakt ten został statystycznie udokumentowany. Rewelacja? Ależ przecież znamy od dawna powiedzonko: „dobry kogut zawsze chudy”.



TEMPORA MUTANTUR

Ilustracja do powieści „Mgławica Andromedy”, drukowanej w młodzieżowym tygodniku popularno-naukowym „Technika Młodzieży” — nr 2, 1957 rok.

TUNEL

Sprawa budowy tunelu łączącego Francję z Anglią pod wodami kanału La Manche wchodzi w stadium konkretnych projektów przygotowawczych.

SNOBIZM?

Miliarder argentyński Anchorena zaangażował sławnego malarza Salvadora Dali jako artystę dekoratora drzwi do swoich apartamentów. Upzednio apartamenty dekorowali bojaczowie — Dufy i Braque, a pianino projektował i ozdabiał Cocteau — obecnie członek Akademii Francuskiej.

POCIECHA

Francuzi pocieszają się że amerykańska pomoc dla Francji to tylko spłata starych długów, zaciągniętych przez Nowy Świat wobec Francuzów. Twierdzą mianowicie, że pomoc ta równa jest tej jaką Francja udzielała młodemu Stanom Zjednoczonym za czasów la Fayettea.

ZIEMIA OBIECANA

Milion Żydów zamierza przyjąć państwo Izrael. Imigracja spodziewana jest z różnych krajów świata. Rocznie Izrael może przyjąć 100 tysięcy osób.

WSZĘDZIE CI ARABOWIE

W Leningradzie ogłoszono o odkryciu nieznanego dotychczas rękopisu o niezwykłej wartości historycznej. Autorem rękopisu był Arab — Ibn Medjib A'kab, człowiek który prowadził ekspedycję Vasco da Gamy.

ODMOWA

Były prezydent Egiptu Naguib, znajdujący się ciągle jeszcze w areszcie domowym nie zgodził się na propozycję Nassera, który chciał go mianować ambasadorem nadzwyczajnym Egiptu w USA.

NIGDY

56-letnia Marlena Dietrich słynna gwiazda filmowa i piosenkarka zapytana przez reportera z „New York Tribune” czy nie ma zamiaru napisać książki o swoim życiu, odpowiedziała: „Moje pamiętniki nie zostaną NIGDY napisane”.

TYLKO DLA CHULIGANÓW

Ogłoszenie z zachodnio-niemieckiego „Wormser Zeitung”: Uwaga „Chulianie” z Worms. Dziś w czwartek 4. tego kwietnia godzina 19.00 w restauracji „Zum Schützenliesl”, ulica Gärtenhallenstrasse 11 odbędzie się zebranie organizacyjne „Klubu chuliganów”. Zaprasza się serdecznie wszystkich chuliganów w wieku od 16—20 lat. Bliższe szczegóły na zebraniu”. Naszym zdaniem: godne naśladowania.

WIEDZA

Francuski Instytut do Badania Opinii Publicznej ogłosił: na 100 Francuzów 97 wie kto wygrał ostatni bieg kolarski „Tour de France”. Natomiast zaledwie 15 osób na sto potrafi określić kto jest szefem obecnego francuskiego rządu. Prawda że pod tym względem przewyższamy naszych zachodnich przyjaciół?

DOBRY OJCIEC

Obywatel angielski George Haslam liczący 67 lat ogłosił ostatnio swoje zaręczyny z 23-letnią Florence Beety. Podczas zaręczyn oświadczył: „Różni przyjaciele odradzali mi ten krok, ale mój 90-letni ojciec zobaczywszy że jestem naprawdę zakochany kazał mi się wreszcie ożenić.

WĘGIEL I PROMIENIE

Jedną z amerykańskich kompanii kolejowych wypróbuje naświetlony promieniami gamma pył węglowy jako nowy rodzaj paliwa dla lokomotyw. Promieniowanie tak ulepsza węgiel, że dodany do dieslowskiej benzyny spala się całkowicie zwiększając ogromnie energetyczność benzyny.

TRUCIZNY — LEKARSTWAMI

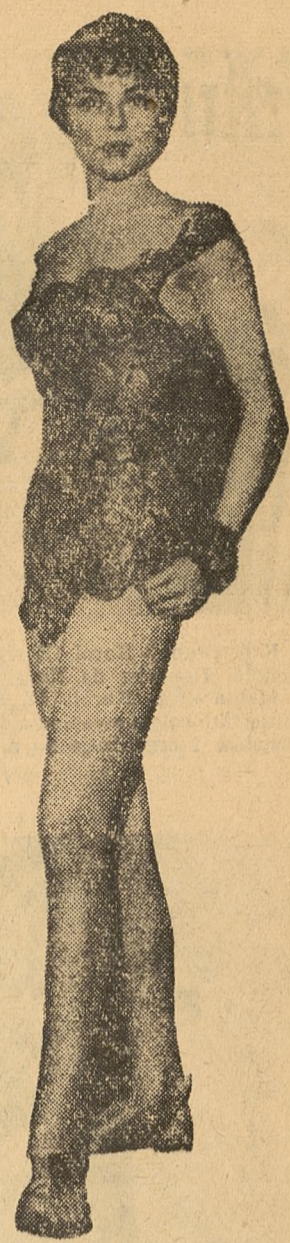
Specyfikiki wytwarzane z kurary (indiańska trucizna) oddają niezmiernie usługi w operacjach chirurgicznych — rozluźniają zupełnie mięśnie pacjentów. Obecnie wprowadza się nowy specyfik — strophanthidin — sporządzony również z trucizny. Tym razem trucizna jest pochodzenia afrykańskiego. Murzyni używają jej do zatrucia strzał, zaś lekarze... lekarze za jej pomocą niwelują niebezpieczeństwo zahamowania pracy serca podczas zabiegów chirurgicznych w tzw. sztucznym oziębieniu (hypothermia).



17 w.



19 w.



DZISIAJ

TYLKO DLA MĘŻCZYZN

W której epoce chciałby Pan żyć ?

Fakty Plotki Fakty Plotki Fakty Plotki Fakty Plotki Fakty Plotki Fakty Plotki

Nagły i niespodziewany przewodnik po mieście Krakowie

(zapewniamy specjalną opiekę MO turystom wybierającym się na zwiedzanie plant i Nowej Huty.)

UWAGI występne

Kraków dzięki ogromnej awersji jego obywateli do wszelkiego pośpiechu nie leży na trasie wielkiego wyścigu pokoju Warszawa — Berlin — Praga (wymieniamy w kolejności apolitycznej). Staszek Królak nigdy tu prawie nie zaglądał. Natomiast w podziemiach leżą królowie polscy oraz życie kulturalne (nie mieszać z literackim — pa'rz huragan przeszedł rano). Podziemia zwane są także piwnicą pod Bararami. Tamże uzbrojeni w brody miodzienci opowiadali do niedawna brodate dowcipy polityczne. Ostatnio zostało to surowo zabronione: w ramach jawności życia mówić dowcipy w podziemiu fe-shocking.

Innymi cechami charakterystycznymi tego pięknego miasta są widoczne już z daleka kopce: Kościuszki i Piłsudskiego, oraz kopce niewidoczne — Krakusa i Wandy. Podobno Krakus i Wanda byli po prostu parą przebranych założycieli Warszawy, a więc Warszem i Sawą, którzy zbudowali Kraków jako malaryczną kolonię karną dla niebłagana-diożnych. Od tego czasu datują się wszelkie wymiary złośliwości między obu miastami. Nie ma miesiąca aby któreś z miast nie wysyłało do konkurencyjnego zrecznym dywersantów. Przykład oczywiście z dziedziny życia kulturalnego (można mieszać z literackim) — zaraz po II wojnie światowej przysłano do Krakowa prezesa związku literatów w celu zniszczenia tujszego ośrodka. Akcja w toku. W zamian za to Kraków wydelegował do Warszawy szereg osobistości m. in. znanego poe.e, który „dlugo prędkim słowem ro-

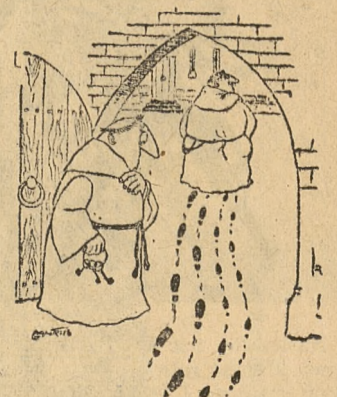
bi" chociaż sam jest dość malej postury. Często wysyła się także Magda-lenę Samozwaniec oraz innych dowcipnych twórców. A więc charakterystyczną cechą Krakowa są kopce. Nawiązują skutecznie do tradycji reprezentacyjnych mogił słowiańskich. W ramach zjednoczenia ogólnego mówi się już w niektórych dobrze poinformowanych kołach o projekcie zjednoczenia wszystkich narodowych kopców i pamiątek w jeden wielki Kopiec Jedności Narodowej. W przyszłości na szczycie tej budowli ustawionej na Rynku Głównym w miejsce i tak już rozpadających się Sukien-nie pomieści się lotnisko rakiet międzyplanetarnych, stacja helikopterów, komitet wojewódzki... do walki z alkoholizmem, obserwatorium astronomiczne, prezydium wszystkich rad i urzędów oraz kościół. Na razie, ponieważ projekt okazał się kosztowny i trudno go zrealizować w pierwszym roku istnienia gry zwanej lajkonikiem przewiduje się zaopatrzenie szczytu przyszłego kopca w lunety z widokiem na Tatry i w szalet publiczny. Chodzi o to aby spragnieni górskich widoków krakowianie i robotnicy z Nowej Huty nie zanęczyli narodowych świętości w razie potrzeby.

Jeszcze jedną cechą charakterystyczną Krakowa jest Lajkonik: postać w spiczastej czapie dzierzająca w reku pałę. Podobno władze noszą się z zamiarem wykorzystania bogatej tradycji Lajkonika. Dlatego też postać ta, dotychczas występująca tylko raz do roku w dzień Bo-żego Ciała ma zostać rozpowszechniona wśród szerokich mas pracujących oraz prywatnej inicjatywy — podczas każdej uroczystości narodowej a także i w czasie święta

Pierwszego Maja. Lajkonik harcuje wśród rozbawionych tłumów bijąc publiczność gdzie popadnie. Wkrótce milicjanci zaopatrzeni niedawno w pałki mają zostać przebrani za lajkoników i przemianowani na Lajkoników Obywatelskich.

Warto dodać że Kraków został ostatnio miastem wydzielonym: wydzielonym z normalnego zaopatrzenia w produkty takie jak masło, cytryny, wołny i inne delikatery. Informacji o tym czego w Krakowie nie można dostać udzielają turystom krajowym i zagranicznym sprawnie działające placówki Delikatesy, Gal-lux, MHD i PSS. Do procesów historycznych, które kształtowały ob-lizze wydzielonego miasta niektórzy zaliczają również proces Gorgo-nowej (20-lecie międzywojennego chuligaństwa) oraz proces Mazurkiewicza (powojenny rozwój chuligaństwa). Mylą się podobno ci którzy sądzą że rozkopanie rynku krakowskiego w ostatnich dniach ma miejsce w związku z doprowadzeniem do Sukien-nie ogrzewania z budynku „Feniksa". Natomiast zdaje się mają ra-ję tamci co twierdzą iż członkowie rady miejskiej w poszukiwaniu skarbów które uratowały-by miasto szukają Żyły złota ukrytej przez Mazurkiewicza częstego bywalca Feniksa.

Na podkreślenie w każdym razie zasługuje taniść tego miasta. Nie można tu wydać pieniędzy bowiem nie ma tu gdzie mieszkać, nie ma nic do kupienia. Polecamy to szczególnie z moćnym turystom krajowym, którzy oszczędzają w PKO. Szczegóły o mieście w następnym odcinku przewodnika.



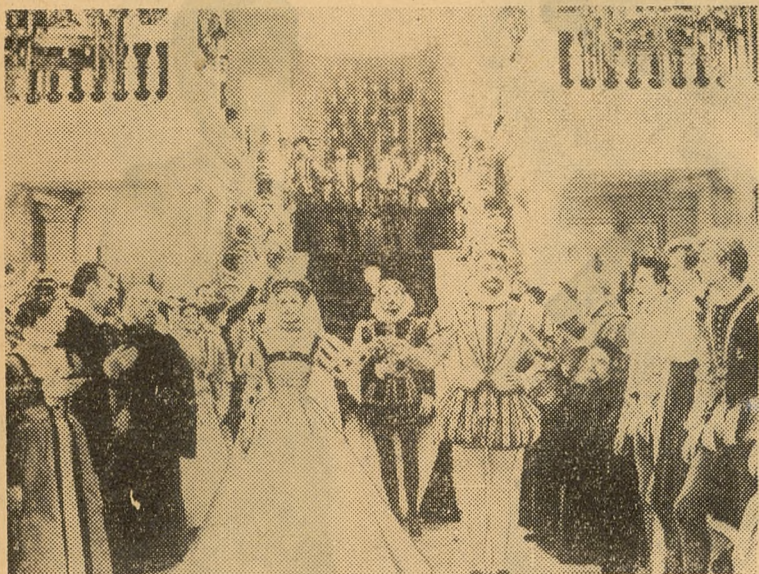
KROLOWA MARGOT

barwny film produkcji francusko-włoskiej osnuty na tle historycznej powieści Aleksandra Dumasa. W roli tytułowej piękna Jeanne Moreau. Rzecz dzieje się w XVI wieku w okresie walki katolików z hugonotami i wydarzeń związanych z tzw. „Nocą św. Bartłomieja”.

To
J. KYDRYŃSKI

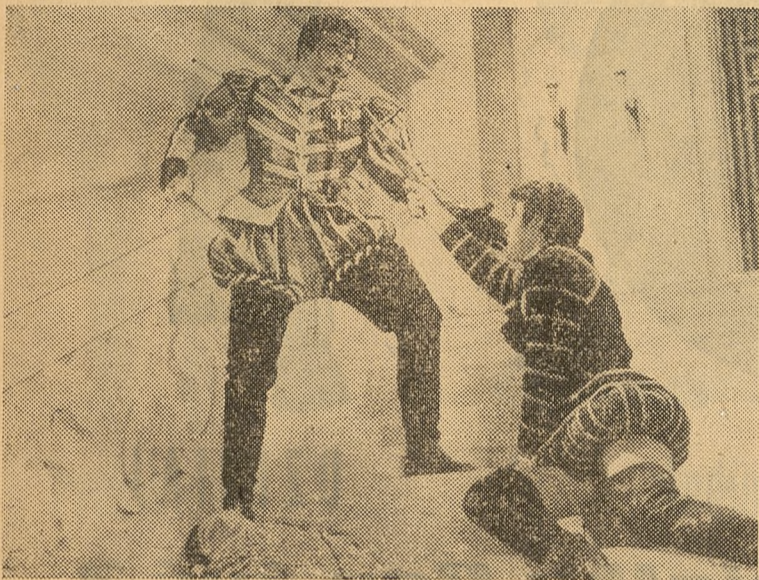
nie istnieje

dla czego?

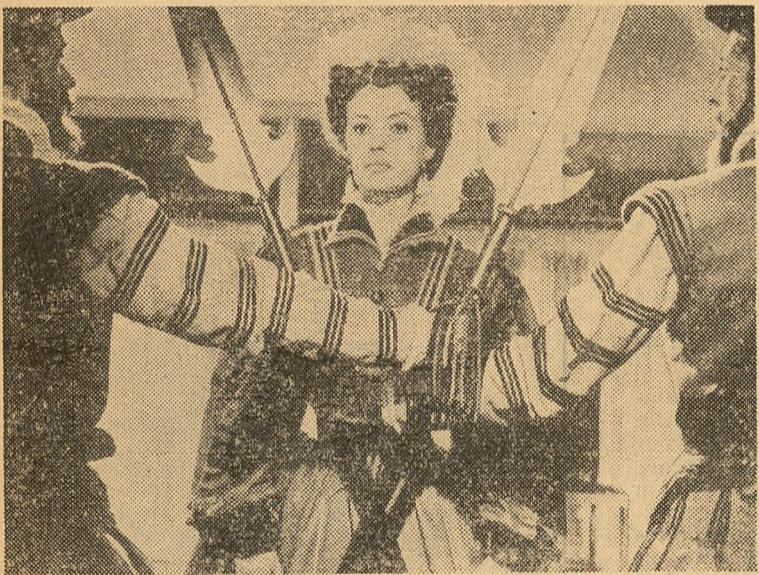


Król Francji Karol IX wydaje swą siostrę Margot za hugonota, Henryka de Navarre.

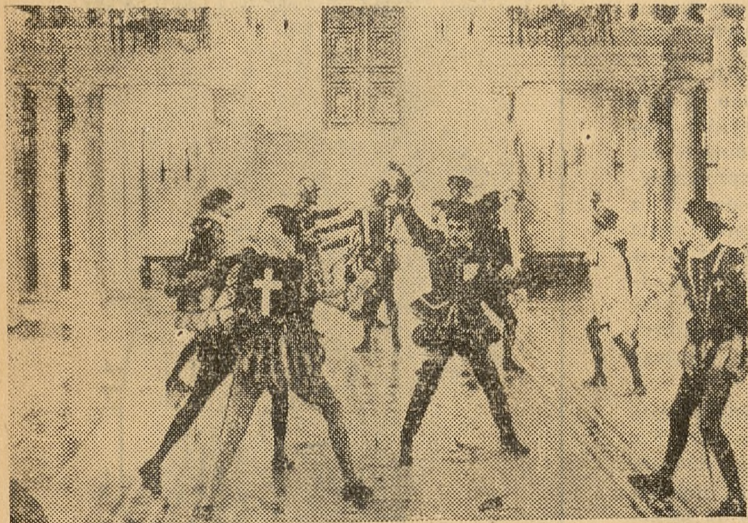
Matka króla Karola IX Katarzyna Medycejska wykorzystuje ślub celem zwabienia do Paryża najznakomitszych hugonotów i organizuje na nich zamach.



Do Paryża zdąża oficer Annibal de Coconnas wiozący dokładne instrukcje w sprawie wykonania planu eksterminacji hugonotów. W drodze spotyka młodego hrabiego de la Mole, zwolennika hugonotów, dającego z ostrzeżeniem o groźnym niebezpieczeństwie, do księcia Henryka. Dochodzi do zwady i pojedynku przerwanej zarządzeniem króla.



Zakochanemu w królowej Margot hrabiemu de la Mole nie udaje się ostrzec księcia Henryka, gdyż pada ofiarą podstęp.

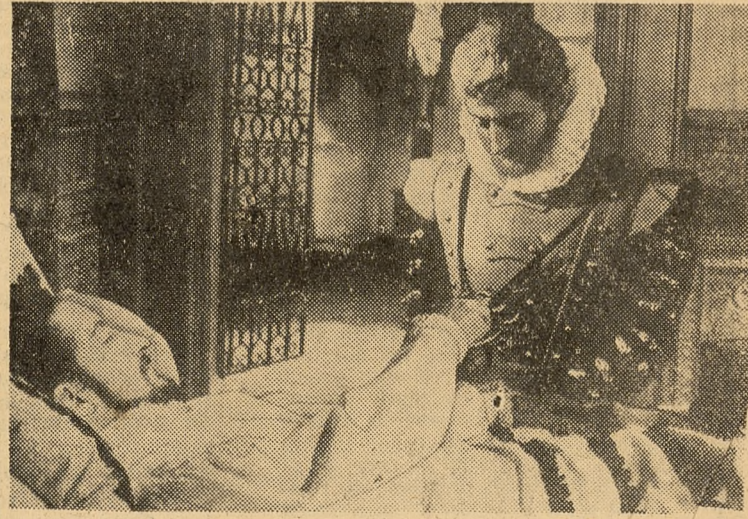


Następuje noc św. Bartłomieja i masakra hugonotów. Królowa Margot ratuje swego męża i ukrywa też w swym pokoju rannego i ściganego hrabiego de la Mole.

De la Mole przewieziony zostaje do mieszkania w Paryżu, w którym znajduje się już ranny również, jego znajomy i nieprzeciwnik oficer de Coconnas. Oba panowie zaprzyjaźniają się i wkrótce wedrują do więzienia, posadzeni o udział w spisku przeciw królowi.



Margot chce ratować swego kochanka i przekupuje naczelnika więzienia. Nie udaje się to jednak, gdyż de la Mole ucyzerpany torturami nie ma siły do ucieczki. Wierny Coconnas zostaje przy nim.



Król Karol IX umierając od trucizny przygotowanej przez jego matkę Katarzynę Medycejską dla Henryka, przekazuje koronę Francji mężowi Margot. Reszty dowiadujemy się na filmie.

Opr. TADEUSZ NICZ

W czasach, gdy czarnowłosa pieśniarka Juliette Greco, ubrana w czarne oocisłe spodnie i w czarny obcisły sweter, występowała w tzw. piwnicy egzystencjalistów zyskując sobie przydomek „muzy St. Germain” do stałego jej repertuaru należała poetycka rzekomo absurdalna i pozornie infantylna piosenka Kosmy do słów Préverta „Ca n'existe pas... pourquoi pas?” („To nie istnieje... dlaczego?”) Autor piosenki ubolewał mianowicie, że nie istnieje gasienica w czerwonej czapce, zakochana w zielonym młynku do kawy.

Nas, do których wybitne dzieła literackie (choćby „Dżuma” Camusa) docierają z dziesięcioletnim opóźnieniem — o ile docierają w ogóle, nas, do których nowoczesna plastyka — zanim ostatnio ujawniła się, zwłaszcza wśród młodych — docierała tylko poprzez naśladownictwo tych kilku malarzy, którzy czasem jeździli do Paryża (choć wątpię, żeby np. czołowy polski soc-realista Krajewski, który pojechał niedawno na stypendium państwowe czegoś się tam nauczył wzgl. odczytał, nas, którzy w ogóle zapomnieliśmy już co to jest teatr — nas, powtarzam, nie powinno dziwić, że np. krakowscy młodzi chłopcy i dziewczęta, marzący o własnej twórczości w dziedzinach sztuki, o których wyżej wspominałem, zaczęli realizację tych marzeń od zejścia do piwnicy (fakt, że jest to piwnica Wojewódzkiego Domu Kultury, niewątpliwie dodaje tej sprawie pikantności) i że w piwnicy tej produkują m. in. wspomnianą piosenkę o gasienicy z refrenem „To nie istnieje... dlaczego?”

Być może fakt, że młodzież z krakowskiej piwnicy (w której zresztą dotychczas nie byłam) wybrała tę właśnie piosenkę do swej kabaretowej składanki, nie jest jedynie wynikiem snobizmu (godnego czasem pochwały). Być może wybór ten dowodzi dużej wrażliwości i zdolności szerokiej interpretacji nie zawsze łatwych wierszy Préverta. Bo przecież my nie jesteśmy tacy naiwni, prawda? My umiemy wyinterpretować wszystko tak jak trzeba, mamy dobrą szkołę. Przez ładnych parę lat uczono nas właściwej interpretacji pewnych zjawisk, a jeśli zjawisko, jako takie iaskrawo nie zgadzało się z odpowiednią jego interpretacją, tym gorzej było dla zjawiska. A więc coś prostszego, jak odpowiednio wyinterpretować teraz gasienicę w czerwonej czapce. Czym ona jest, co

ona reprezentuje? Nie dajmy się zbałamucić czerwonym kolorem czapki! To nie jest postępowo a tym bardziej socjalistyczna gasienica. Czy postępowo gasienica mogłaby się zakochać w zielonym młynku do kawy? Dlaczego zielonym? Nie dajmy się zbałamucić kolorem młynka! Wbrew pozorom, nie chodzi tu o młynek ludowy. Tu w ogóle nie chodzi o sojusz robotniczo-chłopski.

Więc o co chodzi?

A może chodzi po prostu rzeczywistość tylko o to, że gasienica w czerwonej czapce, zakochana w zielonym młynku do kawy — nie istnieje? I może chodzi po prostu rzeczywistość o to, że szkoda, iż nie istnieje ta gasienica i ten młynek i że w ogóle nie istnieją np. krasnoludki, o których tak lubi pisać Sławomir Mrożek? I szkoda, że ta gasienica, ten młynek i te mroźkowe krasnoludki jeszcze długo, bardzo długo nie będą u nas mogły istnieć?

Dziś — ostatecznie — można przyjąć i takie wytłumaczenie, ku względemu przynajmniej zadowoleniu tych, którym zawsze konieczne trzeba wszystko tłumaczyć. A'e z każdej interpretacji wynika pewne wnioski. Jeżeli więc przyjmujemy tę najprostszą interpretację piosenki o gasienicy, to ci, którym zawsze trzeba wszystko tłumaczyć, zapytają natychmiast: Dobrze, ale wobec tego: 1) Czy możliwe jest, żeby ta gasienica i d. kiedys w ogóle „zaistniała”, 2) A jeśli tak, to co robić, żeby?

Otóż takie stawianie tej sprawy wydaje mi się niesłuszne. Należy z naciskiem podkreślić, że słuszne i jedynie słuszne jest tylko i wyłącznie ubolewanie nad tym, że nie ma gasienic w czerwonych czapkach, zielonych młynków i krasnoludków. I jeśli naprawdę głęboko się nad tym ubolewa, to prędzej czy później z ubolewania tego wyniknąć mogą rzeczy pożyteczne. Na przykład możecie sobie pomyśleć: Wprawdzie nie istnieją... (już wiecie co, nie chce mi się tego stale powtarzać), ale za to może przecież istnieć — poezja. A kiedy w chwili, gdy tak sobie właśnie pomyślicie zabrzmi wam w uszach natrętny refren: „to nie istnieje... dlaczego?...”, to zawsze jeszcze możecie szybko dorzucić: „proza!” Gdy wtedy znów usłyszycie przykry refren, będziecie zapewne próbować dalej: „teatr!” itd.

Niestety, refren „Ca n'existe pas” aż nadto dobrze wbije się wam w pamięć. I wtedy w całej okazałości załśni przed wami owo bynajmniej

nie wesołe, zupełnie nie absurdałne i wcale nie infantylne, lecz twarde, surowe i bezilosne: „Dlaczego?”

No cóż, lektura pism, poświęconych tym zagadnieniom (zauważyliście, mam nadzieję, że myślę tu jedynie o zagadnieniach tzw. „kultury i sztuki”), otóż lektura odpowiednich pism tylko w małej mierze da na to odpowiedź. Dostarczy za to sporo powodów do uśmiechu zażenowania na widok owego pytania, wielką czcionką pisanego i drukowanego niejednokrotnie przez ludzi, którzy powołani byłiby raczej do udzielenia na nie odpowiedzi.

Ale — z drugiej strony — czy na tej odpowiedzi naprawdę tak bardzo nam zależy? Nie udawajmy przecież, że mimo długolentych zachwyty nad rzekomymi na tym polu osiągnięciami, nie wiemy, dlaczego nie istnieje u nas dziś właściwie poezja, proza, teatr... Och, oczywiście wcale nie chcemy przez to powiedzieć, że nie ma u nas poetów, pisarzy, aktorów... I to nawet dobrych poetów, pisarzy, aktorów. Tylko, że pracują oni w niesprzyjającej atmosferze. A właściwie — w żadnej atmosferze. Powiedzmy wreszcie otwarcie: to, co uważało się i uważa za największe u nas osiągnięcie artystów (o ironio!), a mianowicie „warunki” są niższe, a czasem gorzej, niż niczym, gdy nie ma atmosfery. Znamy są bowiem wypadki, że artysta tworzył bez stypendiów. Nie zna się natomiast przykładów na to, by artysta tworzył w atmosferze „dobrego” lub „złego” widzenia go „u góry”, protekcji i protekcycjek, „sitiw” itp. Kiedyż wreszcie o pozycji artysty decydować będzie u nas jedynie jego dzieło? Kiedyż wreszcie przywróci się w pełni „prywatną inicjatywę” w sztuce ze wszystkimi jej konsekwencjami, tzn. przede wszystkim z wolną konkurencją. W sztuce na te rzeczy powinno się patrzeć nieco inaczej, niż w handlu. Bo sztuka, proszę państwa, nie jest handlem. A kultury także się nie „robi”. Kulturę się tworzy, a raczej kultura tworzy się sama, ale oczywiście na jakimś podłożu. Nie wiadomo mi jednak, żeby jakakolwiek kultura powstała na podłożu administracyjnym.

Może trochę za daleko odbiegliśmy w tej chwili od gasienicy w czerwonej czapce, zakochanej w zielonym młynku do kawy.

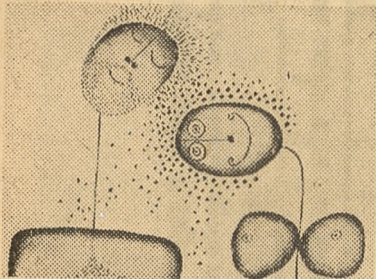
Ale przecież takich gasienic nie ma. Dlaczego?

JULIUSZ KYDRYŃSKI

(Ciąg dalszy ze str. 5)

nie można go zmusić do ich zapła-
cenia, jeśli on nie ma na to ochoty.
Tak, Jake dowiedział się dokładnie
o tym „prawie wybiegu” w Maine
i chciał w pełni skorzystać z jego
dobrodziejstw.

To właśnie rozważał sobie przez
cały czas, gdy powoli wędrował ze
swymi ciężkimi wołami tam i z po-
wrotem między Bangor i Vermont.
Jake był nie w ciemie bity, Jake —
był Vermontczykiem.



Po chwili dziewczuszka zeszła na
dół, ubrana stosownie do tego pra-
wa wybiegu. Miała na sobie to, co
kobiety nosiły w tych czasach pod
suknią i nic więcej. Ale co do Jake'a,
to nie był on jeszcze całkiem zado-
wolony. Kazał jej iść na górę i
zdziać wszystko, co miała na sobie.
No tak Jake miał twarde łeb i był
poganiaczem wołów z Vermont.
Wszystko to sobie dokładnie rozwa-
żył, gdy gnał te swoje ciężkie woły
tam i z powrotem przez góry.

Po malej chwili jego miła dzie-
wuszka znów weszła do pokoju, w
którym był Jake i pastor i wszyscy
goście i już nie miała na sobie nic,
tylko owinęła się prześcieradłem, a
to dobrze wyglądało, powiadam
wam. Bo ładna z niej była dziewczusz-
ka.

Wszyscy przygotowali się znowu
do ceremonii, pastor powiedział im,
gdzie stanąć i co odpowiadać na py-
tania, które im będzie zadawał. I wte-
dy, właśnie gdy zaczęli się żenić,
Jake kazał jej zrzucić prześcieradło
na podłogę. No tak, tutaj w stanie
Maine, Jake nie chciał ponosić żad-
nego ryzyka. Prawo wybiegu mó-
wiło, że jeśli kobieta bierze ślub
bez sukni, to jej mąż nie odpowia-
da za jej dawne długi i Jake wy-
kombinował sobie, że jeśli jego dzie-
wuszka nie będzie miała w ogóle nic
na sobie, to na całym świecie nie
będzie takiej siły, która by go zmu-
siła do zapłacenia jej przypuszczal-
nych długów; natomiast jeśli będzie
miała na sobie jakąś odzież, której
on nie potrafił właściwie i prawie
określić, to każdy kupiec mógłby
próbować mu wmówić, że jej bliz-
na była suknią. Jake sobie myślał,
że jeśli nie będzie ostrożny, to może
zostać pozbawionym korzyści płyną-
cych z prawa wybiegu i tutaj, w
stanie Maine, tak daleko od Ver-
mont, Jake nie chciał ponosić naj-
mniejszego ryzyka. Gdziekolwiek
postawił stopę, był równie ostro-
żny, jak każdy inny poganiacz wołów
z Vermont.

— Zrzuć prześcieradło na podłogę
— powiedział Jake do dziewczuszki.

Dziewuszka już chciała rozluźnić
prześcieradło i zrzucić je na podło-
gę, tak, jak Jake jej kazał, gdy pas-
tor złapał je i mocniej zaciągnął,
żeby nie mogła ukazać swej nagości
ani jemu, ani Jake'owi, ani zebranym
gościom.

— Nie! Nie! Nie! — wrzeszczał,
stając się purpurowy na twarzy i
trzęsąc głową w stronę Jake'a. —
Tego nie wolno, mój człowieku, ab-
solutnie nie wolno! To nieskrom-
ność, tutaj, przed nami wszystkimi!
Tego nie można zrobić! Nigdy na to
nie pozwolę!

Ale ten pastor nie znał Jake'a
Marska. Jake był poganiaczem wo-
łów z Vermont i jak sobie coś ur-
bił, to nie dał już sobie tego wy-
bić z głowy. Więc znowu kazał dzie-
wuszcze, żeby zrzuciła prześcieradło
na podłogę i to prędko, jeśli chce z
nim wziąć ślub.

Dziewuszka już była gotowa zro-
bić tak, jak Jake powiedział, ponie-
waż miała na punkcie Jake'a takie-
go bzika, że gdyby Jake jej kazał,
to stanęłaby na głowie, ale pastor
znowu złapał prześcieradło i przy-
trzymał je mocno obydwiema rękami.

Pastor zaczął przekonywać Jake'a,
że to nie wypada, aby młoda przy-
szołna dziewczuszka stała nago pod-
czas ślubu, ale Jake nabił sobie gło-
wę korzyściami, płynącymi z prawa
wybiegu i nie chciał ustąpić ani na
cal.

Potem pastor powiedział, że nie
da ślubu, jeśli stanie się to, przy-
czym Jake się upiera, a Jake po-
wiedział, że nie weźmie ślubu, jeśli
prześcieradło nie upadnie na podło-
gę, tak, żeby żaden ubiór nie doty-
kał ciała jego dziewczuszki.

Gdy Jake to powiedział, wszyscy
bardzo się zdenerwowali i przez go-
dzinę albo i dłużej gadali między
sobą, stając raz po stronie Jake'a,
bo znali prawo wybiegu, a raz po
stronie pastora, bo rozumieli, jakby
to na pastora podziało, gdyby ład-
na, młoda dziewczuszka stała na-
go, tak jak Jake upierał się, żeby
zrobiła. Dziewuszcze było zupełnie o-
bojętne w jakim stroju ma brać
ślub, byleby Jake się z nią ożenił.
Chętnie zrzuciłaby dla Jake'a prze-
ścieradło w tej samej chwili, w któ-
rej pastor by jej na to pozwolił.
Miała straszną ochotę wziąć ślub,
tak samo zresztą, jak i Jake.

W końcu pastor troszeczkę ustąpił
Jake'owi. Zrozumiał, jakim był głup-
cem, próbując przekonać poganiacza
wołów z Vermont.

— Jeśli ora wejdzie do komórki
i przytknie drzwi, tak, żeby rikt
nie widział jej nagości, dam wam
ślub — powiedział pastor do Ja-
ke'a.

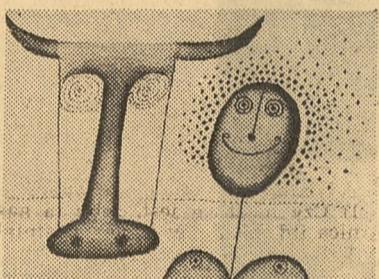
— Zgoda — powiedział Jake — a-
le muszę mieć jakichś świadków na
wypadek gdyby ktoś chciał wątpić w
to, że pobraliśmy się według prawa
wybiegu.

Doszli w końcu do porozumienia,
gdy pastor się zgodził, żeby razem
z dziewczuszką weszli do komórki
dwie starsze kobiety, aby się upew-
nić, że wszystko zostało zrobione
według prawa. Pastor niechętnym
okiem patrzył na to, że i Jake chce
wejść do komórki, ale po dwóch go-
dzinach dyskusji z vermontkim po-
ganiaczem wołów nie miał już zu-
pełnie sił i powiedział, że pozwala
Jake'owi także.

Jake poszedł do komórki, gdzie
była dziewczuszka i dwie starsze ko-
biety.

— No, Jake, spójrz tylko jeden raz
— powiedział pastor, trzęsąc głową
— a potem zamknij oczy i trzymaj
je zamknięte.

Jake siedział w komórce i mówił
coś do dziewczuszki, ale nikt w po-
koju nic nie słyszał. Pastor uchylił
nieco drzwi, żeby przez szparę sły-
sząc odpowiedzi na pytania, jak bę-



dzie im dawał ślub. A przez cały ten
czas Jake tam siedział i świecił za-
palki, żeby sprawdzić, czy dziewczusz-
ka nie okryła się znowu prześciera-
dłem i żeby się upewnić, że skorzy-
sta z wszystkich dobrodziejstw pra-
wa wybiegu.

Gdy już było po wszystkim, pastor
wziął pieniądze, które Jake mu wrę-
czył i poszedł do domu, nie czeka-
jąc, aż drzwi komórki się otworzą i
wyjdzie z niej ładniutka dziewczuszka.
Kiedy weszła z Jake'm do pokoju,
całe prześcieradło zwinięte było w
węzeł. Jake je jej podał, a ona nie
tracąc czasu pobiegła na górę, gdzie
miała suknię. Jake kazał jej szybko
się ubrać, bo chciał wyruszyć z po-
wrotem do Vermont ze swym towa-
rem.

Zaraz też ruszyli do domu w Ver-
mont; młoda, ładna dziewczuszka, u-
brana w strój ślubny siedziała na
wierzchu ładunku, a Jake siedział o-
bok furgonu, krzycząc na woły.

Gdy w następnej podróży Jake
wrócił do Bangor, jakiś kupiec
przedstawił mu rachunek na sto
czterdzieści dolarów. Kupiec powie-
dzał Jake'owi, że jego dziewczuszka
kupiła mnóstwo strojów i różnych
rzeczy tuż przed ślubem i chciał
wiedzieć, czy Jake poślubił ją wed-
ług prawa wybiegu.

Jake tylko się uśmiechnął i zaczął
wyładowywać swój towar.

— No więc, czy wziąłeś z nią ślub
w ten sposób, czy nie? — spytał go
kupiec.

— Powiedz mi ty najpierw — rzekł
Jake — a potem ja ci odpowiem.
Czy prawo wybiegu jest w stanie
Maine zapisane w księgach?

— Tak, jest; ale prawo wybiegu
mówi, że kobieta musi...

— Nie trudź się wyjaśnianiem mi
tego — powiedział Jake. — Jeśli
prawo wybiegu zapisane jest w księ-
gach stanowych, to ożeniłem się z
nią właśnie według tego prawa.

E. CALDWELL

(Z tomu opowiadań, który ukaże się
wkrótce, nakładem Sp. Wyd. „Czytel-
nik”).

rys. Wiśniak

Tadeusz

Kantor

Konflikt między sztuką nowoczesną a konsumentem

Jest to sformułowanie — powiedz-
my otwarcie — bardzo popularne.
Do niedawna miało ono u nas o wie-
le groźniejszy posmak. Przypomnij-
my sobie: sztuka nowoczesna —
sformułowana — jest oderwana od
mas, jest nie ludzka i wroga. Epite-
ty, które następowały po tym posia-
dały swoistą aurę, przychylną do
brutalnego niszczenia wszystkiego,
co zawierało znamiona wolnej ludz-
kiej myśli i wyobraźni. Te niemile
wspomnienia każą mi dawać dziś o-
stre repliki.

Czy to sformułowanie nie jest
przypadkiem nonsensem? Przebyte
doświadczenia uczyniły mnie podej-
rzliwym. Odczytuję je jak... Bo jeśli
konflikt, to ktoś jest winny. Oczy-
wiście konsument nie, Konsument
jest w takich wypadkach zawsze
niewinny. A więc sztuka nowoczes-
na. Przepraszam — a gdyby była
staroświecka to by konfliktu nie
było? Cóż za piekielny nonsens!
Prawdopodobnie by nie było. Sztu-
ki też by nie było. Byłaby je-
dna wielka fikcja. Fikcja sztuki
i fikcja konsumenta. A teraz spró-
bujmy być bardziej perwersyjni i
bardziej historyczni. Spróbujmy za-
dać takie niewinne pytanie: czy
przypadkowo samo pojęcie sztuki nie
wytwarza tego konfliktu? A może
konflikt jest nieodzowny. A może,
gdyby go nie było, nie istniałby ja-
kikolwiek rozwój? Bo życie nie jest
sentymentalną sielanką. Frazes, bo
frazes, ale jak się świetnie w tym
rozumowaniu mieści.

Oskarża się sztukę nowoczesną, że
jest sprawcą owego konfliktu. Będ-
my bardziej ściśli i nie fałszujmy
historii pod nasze gusty. Konflikt
ten istniał zawsze, ilekroć sztuka
była rewolucyjna i odkrywczą.

W roku 1431 Lucas Moser otoczył
swoją obraz napisem, który podają tu
w autentycznym brzmieniu: „schri
kunst schri und klag dich ser din
begert iecz niemen mer”, co w pol-
skim tłumaczeniu oznacza: „płacz
sztuko, płacz i lamentuj, bo już
nikomu nie jesteś potrzebna”. Z te-
go co powiedziałem nie należy wnio-
skować, że kolejno obwiniam kon-
sumenta. Byłoby to równie idioty-
czne, jak obwinianie sztuki. W o-
góle należy zerwać z atmosferą prze-
wodu sądowego. Oskarżyciele idą w
zapomnienie, a oskarżeni mają rację.

Wina nie jest ani po jednej, ani
po drugiej stronie. Jeżeli istnieje
konflikt (zwłaszcza podobno wiek
XX przeżywa zaostrenie) to jest on

wynikiem warunków. W życiu na-
szym istnieją bardzo bogate pokłady
stare, obejmujące naszą kulturę, my-
ślenie, manierę życia. Jest to na-
sza przeszłość. A równocześnie z
niesłychaną gwałtownością napiera
nowe. I co do tego nikt chyba nie
ma wątpliwości. To jest nasza przy-
szłość. I ani tamtej nie należy się
wstydić, ani na tę obrażać. Chcia-
łoby się rzec: więcej umiaru i bez
histerii. Zwolna się przyzwyczajają-
my. A fanatycznym oskarżycielom,
którzyby chcieli zniszczyć sztukę
nowoczesną chciałbym odpowiedzieć,
że aby to osiągnąć, musieliby naj-
pierw zniszczyć nowoczesną naukę,
technikę, wynalazki, odkrycia, radio,
telewizję, telefony, samoloty, najdzi-
waczniejsze maszyny, elektryczność
i energię atomową, wspaniałe domy
nowoczesne, cały cudowny świat, z
ogromną siłą napięty w przyszłość.

Bo właśnie tej nowoczesności od-
powiada nowoczesna sztuka. Musimy
sobie raz zdać sprawę, że w tym cu-
downym świecie nieuczynności do ar-
tysty, postawienie go w stan oskar-
żenia, skoszarowanie jego myśli jest
najpotworniejszą hańbą, która ob-
ciąża społeczeństwo.

Poniżenie artysty w ubiegłym o-
kresie osiągnęło swoje dno. Przy-
wrócenie prestiżu artysty staje się
gwałtowną koniecznością, staje się
najgłębszą racją społeczną. Ekstra-
wagancja, skłonność do skandalizo-
wania, swoisty anarchizm, nihilizm,
tępi filistrzy! Spokój Wasz został u-
ratowany. Ale za jaką cenę!

Może osadzić to za demagogię,
jeśli zaproponuję byście spojrzeli na
te niemile wam cechy w aspekcie
społecznym. Właśnie one zawierają
w sobie ogromną energię, zdolną
wyrzucić artystę poza magiczny
krąg starych nawyków, przyzwyczaje-
nia, konwencji i starego myślenia,
wyrzucić w próżnię przyszłości, któ-
rą ma napętnić nowymi formami. —
Okaze się wtedy, że ta istota, błą-
dząca u nas tragicznie bez przydzia-
łu społecznego staje się doskonale
zorganizowaną społecznie jednostką.

Redakcja stawia mi pytanie: ja-
kie widzi pan propozycje wyjścia z
konfliktu: sztuka i odbiorca?

Widzę: jedną i jedyną. Odbiorca
tzn. społeczeństwo musi budować
wokół siebie i dla siebie nowoczes-
ne życie. Wiemy wszyscy dobrze,
jak ogromnego to wymaga wysiłku.
A nadzieję sukcesu daje nam mię-
dzy innymi nowoczesna sztuka.



RENE MAGRITTE

ABC SZTUKI NOWOCZESNEJ

Adam Kotula
Piotr Krakowski

1)

ma charakter wyłącznie encyklopedyczny i zawiera omówienie najważniejszych kierunków w sztuce — przede wszystkim w malarstwie — od impresjonizmu po tasyzm, oraz podstawowe wiadomości o głównych przedstawicielach tych kierunków, przy czym malarstwa polskiego w zasadzie nie uwzględniano, gdyż wymaga ono osobnego opracowania.

Na początek zostały wysunięte przede wszystkim hasła rzeczowe, w dalszej kolejności pójda hasła osobowe. Ze względów czysto technicznych materiał opracowano nie w układzie alfabetycznym, lecz z zachowaniem dość sumarycznej chronologii zarówno co do poszczególnych kierunków artystycznych jak i twórców. Indeks alfabetyczny zostanie podany na końcu.

Dla ułatwienia czytelnikowi orientacji reprodukujemy na wstępie „drzewo genealogiczne” sztuki z lat 1890—1935 wg okładki książki Alfreda Barra „Cubism and Abstract Art”.

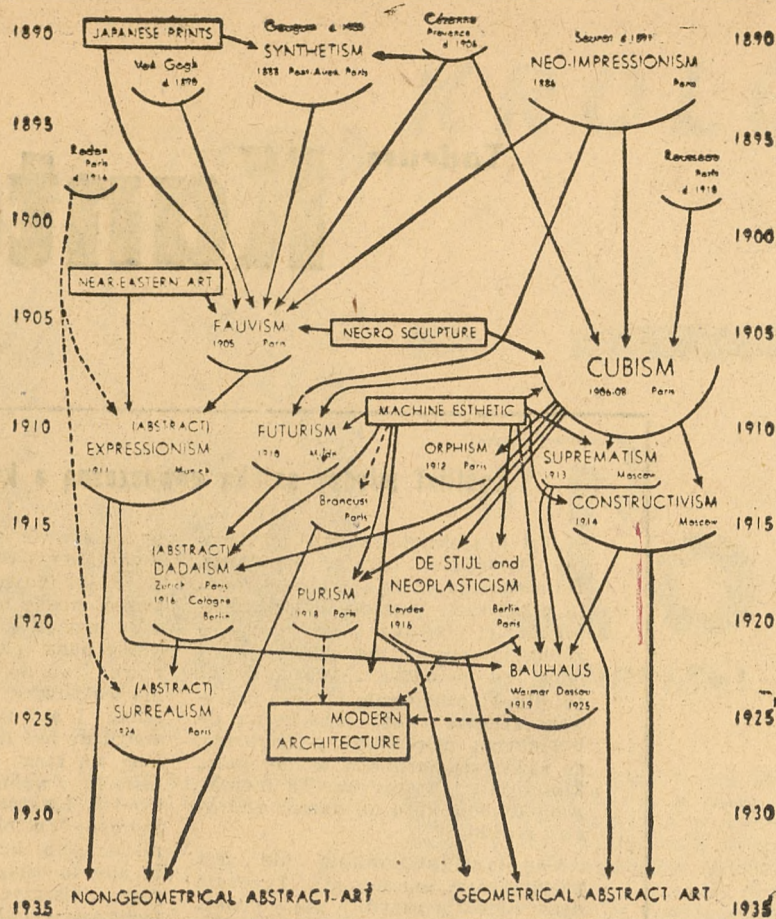
„Na okładce tej — pisze Le Corbusier — podano wykres łączący te czynniki zewnętrzne, które oddziaływały na twórczość (ujęte tu są w ramki), z „izmami”, które się z nich w sposób mniej lub bardziej bezpośredni zrodziły...

„Jeśli idzie o wpływy: sztuka japońska (JAPANESE PRINTS — drzeworyt japoński), sztuka Bliskiego Wschodu (NEAR-ASTERN ART), rzeźba murzyńska (NEGRO SCULPTURE), estetyka maszyn (MACHIN ESTHETIC); jeśli idzie o „izmy”: syntetyzm, neoimpresjonizm, fowizm, kubizm, ekspresjonizm, futurizm, orfizm, supematyzm, konstruktivism, dadaizm, „de Stijl” i neoplastycyzm, puryzm, surrealizm, bauhaus, architektura nowoczesna.

„Wydarzenie ARCHITEKTURA NOWOCZESNA ujęte jest w ramki, które zajmują pionową oś ogólnego obrazu jako koniec ewolucji; z lewej i prawej strony obrzeżone są przez sztukę abstrakcyjną geometryczną i niegeometryczną, co zadziwiająco uzmysławia nieuchronną syntezę sztuk plastycznych”.

„ABC SZTUKI NOWOCZESNEJ” ukazywać się będzie w cotygodniowych odcinkach. Uwagi i życzenia prosimy przysyłać na adres redakcji pisma.

W tym numerze reprodukujemy kilka przykładów dzieł typowych dla niektórych kierunków, które w następnych odcinkach będą szczegółowo omówione.



surrealizm



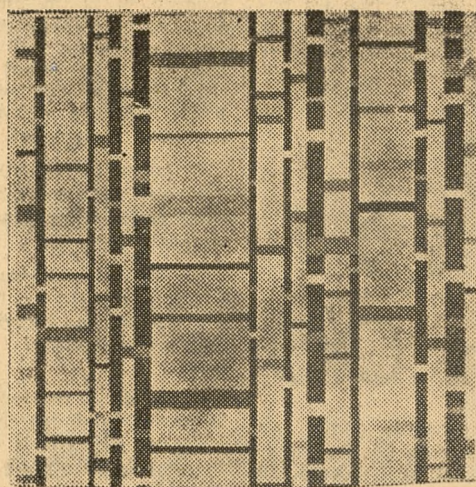
DELVAUX

dadaizm



DUCHAMP

neoplastycyzm



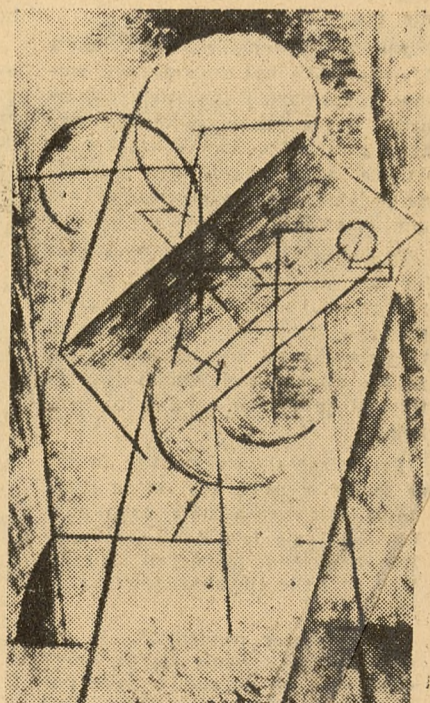
DILLER

rejonizm



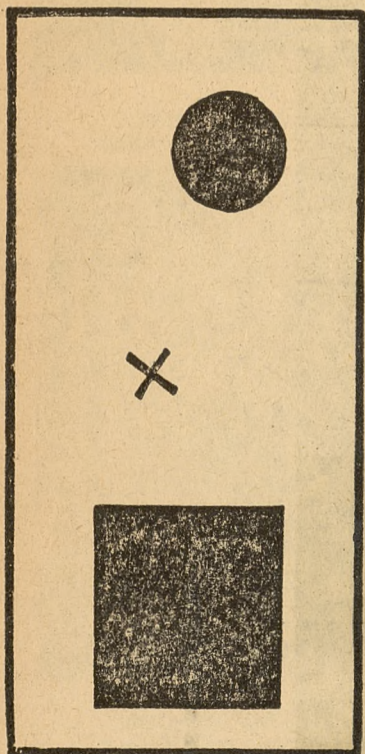
LARIONOW

kubizm

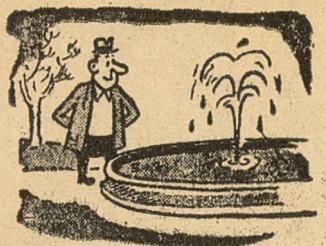


PICASSO

supematyzm



MALEWICZ

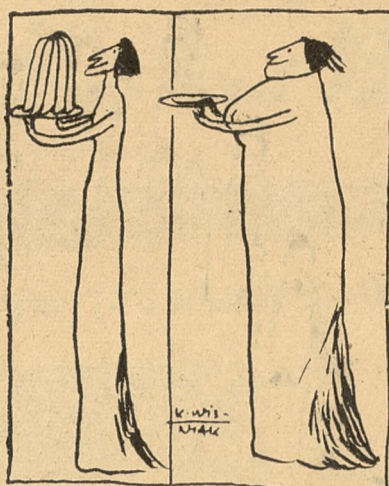


SAMOBÓJCA

Charlie Chaplin obchodził niedawno 68 rocznicę swych urodzin. Podczas przyjęcia w swej willi powiedział: „Gdy się ma tyle lat to wcale nie ma się ochoty ciąć tortu urodzinowego, ale chciałoby się po prostu poderżnąć sobie gardło”. Biedny niedołężny Chaplin ma 31-letnią żonę, która właśnie spodziewa się 6-tego dziecka.

50-tka HOLLYWOODU

W bieżącym roku metropolia filmowa Ameryki obchodzić będzie 50-letnią rocznicę swego istnienia. Przed 50 laty w Hollywood rozpoczynał karierę Charlie Chaplin. Chciano by go zaprosić na uroczystości hollywoodzkie — coś kiedy władze amerykańskie nie mają wcale ochoty wydać wizy jednemu z największych aktorów i reżyserów świata.



SKROMNOŚĆ TO SKARB... CHŁOPIĘCIA

Z książki „Do zdrowego życia” (rodzaj „savoir vivre”) wydanej w zeszłym roku w Moskwie. „Gdy kobieta zażąda abyś usiadł obok niej na kanapie — nie słuchaj jej. Usiądź lepiej na krześle”.

SZKOLENIE

Z czeskiej prasy wojskowej: „Gdy nasi kucharze posiadą wysoki poziom ideologiczny — dopiero wówczas będą w stanie służyć Państwu dobrym jedzeniem, jak tego wymagają wielkie zadania przyszłości”.

NAGOŚĆ

Po przybyciu do Ameryki Sophia Loren złożyła następujące oświadczenie dziennikarzom: „Z sex-appealem trzeba się urodzić, nie można go natomiast sfabrykować przy pomocy nagości”.

Z OSTATNIEJ CHWILI.

Doszły do nas po zamknięciu numeru wiadomości o udanych operacjach serca przy zastosowaniu sztucznego krwiobiegu (sztuczne płuc-serce). Operacji dokonuje się w Polsce, w Warszawie, w Instytucie Gruźlicy. Kieruje nimi prof. Mannteufel. Warto dodać, że tylko kilka ośrodków na całym świecie posługuje się sztucznym płucosercem przy tego typu zabiegach. O szczególności postaramy się w najbliższym czasie.

FELIETONY DROZDOWSKIEGO.

W następnym numerze rozpoczynamy cykl felietonów Bohdana Drozdowskiego, które cieszyły się wielką popularnością wśród czytelników „Echa Tygodnia”. Tytuł pierwszego felietonu „Widmo Malthusa nad światem”.

KRAKÓW OBDARTY

Pisać krakowski felieton... Ba! Łatwo się mówi, ale zrobić niełatwo... Bo właśnie to co ja wiem o Krakowie? Tyle co nic. (Prawdę mówiąc to by było prawie wszystko, gdybyśmy brali pod uwagę bogactwo naszego życia politycznego, kulturalnego itd. od strony oficjalnej — ale niestety felietoniście nie wolno być oficjalnym). Hmm, spróbujmy sobie coś przypomnieć... Wiem na przykład, że Kraków leży nad Wisłą! Nie, to nie nowego — że Kraków leży, to wszyscy wiedzą — żadna sztuka, (dlatego też pewnie nie o tym wiedzieć nie chce Ministerstwo Kultury i Sztuki) trzeba znaleźć coś nowszego... Wiem, Kraków jest biedny, jak mysz kościelna (sic!). Już przecież Boy, charakteryzując mieszkańców różnych miast świata, pisał: „...a zaś każdy krakowianin — goły i inteligentny”. Od tego czasu tyle tylko się zmieniło, że inteligentny bywa w najlepszym przypadku co dziesiąty. Tylko jakże to będzie z tą specyfiką terenu? Dawniej mieliśmy monopol na biedę (nędza galicyjska), ale od ładnych paru lat zjawisko objęło cały kraj, zapewne w ramach wymiany doświadczeń...

Cholernie trudna sprawa z tym krakowskim felietonem... Nawet Otwinowski ma kłopoty, a przecież jemu łatwiej — i prezesem bywa i żonę ma w Miejskiej Radzie i jak by nie było do Związku Literatów należy... Kwiatkowskiemu znów córeczka pomaga, gdy mu tematu zabraknie... A ja? cóż — biednemu zawsze wiatr w oczy... No macie: znowu coś o biedzie! Widocznie to jest jednak ta nasza specyfika terenu. Nawet dziwi się, że przez chwilę miałem wątpliwości. Wystarczy przecież popatrzeć na fasady krakowskich kamienic. (Na podwórka zaglądać już nie radzę!) Prawdziwa szkoda, że „Wartburgi” nabywane ostatnio masowo przez nasz świat pracy są takie niskie; gdyby były przynajmniej dwupiętrowe zasłoniłyby bodaj trochę te trędowate mury wiojące do nieba o pomstę, a do R. N. m. Krakowa — o remont.

Eureka!! (Znalazłem!!) Będzie wreszcie i po krakowsku i z optymistycznym akcentem! „LAJKONIK!!” Wspaniała, całkiem nowa, narodowa w formie i socjalistyczna (głęboko, tak głęboko, że prawie niewidac) w treści, prawdziwie masowa, demokratyczna, decentralistyczna gra! Każdy może (zwróćcie uwagę: m o ż e a nie m u s i!) wygrać milion! Co tydzień! Według tego, co obliczył mi znajomy (bezrobotny) profesor matematyki za 100 tys. lat każdy z grających dziś (ewentualnie jego potomek) będzie milionerem! I pomyśleć, że tak długo bezskutecz-

nie rozmyślała cała ta olbrzymia PKPG jak podnieść stopę życiową. Szkoda tylko, że zdobyliśmy się dopiero na jedną taką grę. Gdyby było ich np. pięć to według moich już samodzielnych wyliczeń takie samo bogactwo osiągnęlibyśmy już po 20 tys. lat! Ale chyba nie trudno będzie stworzyć następne, wykorzystując prócz lajkonika także inne specyficzne krakowskie elementy. I tak np. druga gra mogłaby się nazywać „Hejnałka”, następną kolejno: „Florianka” „Barbakan” „Wawel”, „Jalukurek” itd. Cóż to za eldorado, zważywszy jeszcze, że prócz tego każdy z nas może wygrać samochód, odkładając te głupie i na razie mu niepotrzebne 6 tysięcy na premię książeczkę PKO, odgadnąć trafnie kilkanaście wyników meczów piłkarskich, co przy niewzruszonej formie naszych drużyn jest blachostką, typować szczęśliwie w „Totka-lotka” (dla ludności wiejskiej ma być wprowadzony osobny „Totek-kmiotek”, gdzie wygrana będzie o tyle łatwiejsza, że w losowaniu uwzględni się tylko dwie możliwości: spółdzielczość produkcyjna, gospodarka indywidualna). No, a któż nam zabroni grać równocześnie na starej, pocziwej Loterii Państwowej, czy brać udział w nowej i już nie tak pocziwej „Zgaduj-zgaduli”?

Hej! jak się tak człowiek dobrze wmyśli to coraz nowe odkrywa perspektywy! Pomyślcie sami: możemy przecież jeszcze grać i wygrywać w pokera, w oczko, w ferbla, w zechyca, w mariasza, w belotkę, w pikietę, w świnię i w durmial! Grać i wygrywać panowie! Czarna przegrywa — czerwona wygrywa! Anawa! — jak mówią Francuzi!

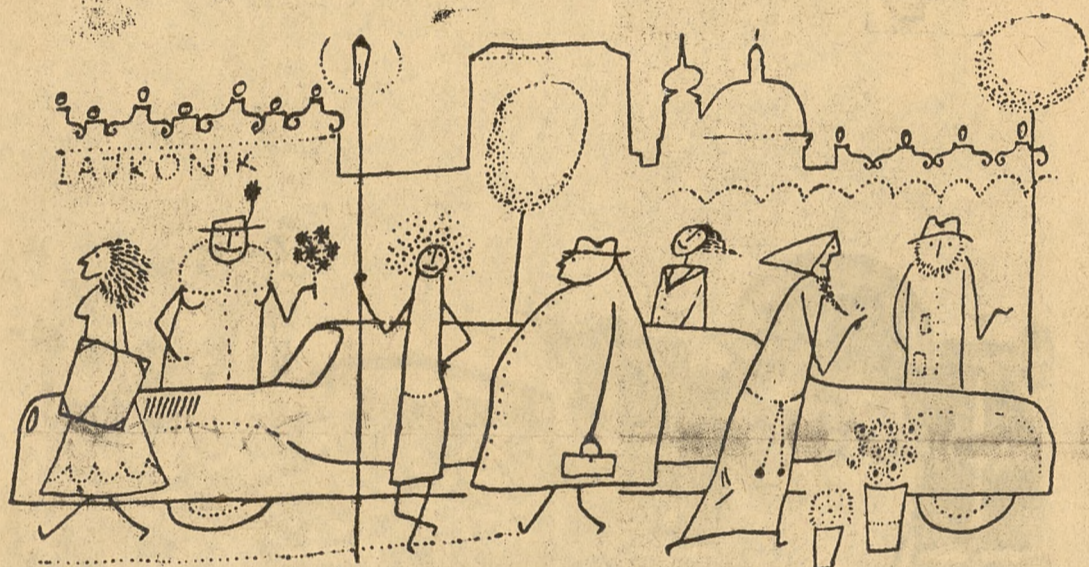
Tak, tak — jeszcze roczek, jeszcze parę i Kraków będzie taki bogaty, że będzie mógł nawet samej Warszawie pożyczki udzielić. Potem, według odpowiedniego rozdzielnika, także innym miastom, a może nawet (dlaczego by nie?) innym krajom? Już widzę oczyma duszy jak Amerykanie do Mrugacza przychodzą i o parę złotych na ratowanie budżetu proszą. A Mrugacz do nich: „Śmierć frajerom — ani grosika nie damy. Zróbcie sobie własnego „Lajkonika”!

BRUNO MIECUGOW

P. S.

Oświadczam uroczystie, że nawrócony przez doktora M. wódki już absolutnie nie pijam. Jeśli więc ktoś zechciałby mi w dowód uznania za ten felieton „postawić” — niech prześle równowartość w gotówce na adres Redakcji. Zwróć z pierwszej wygranej.

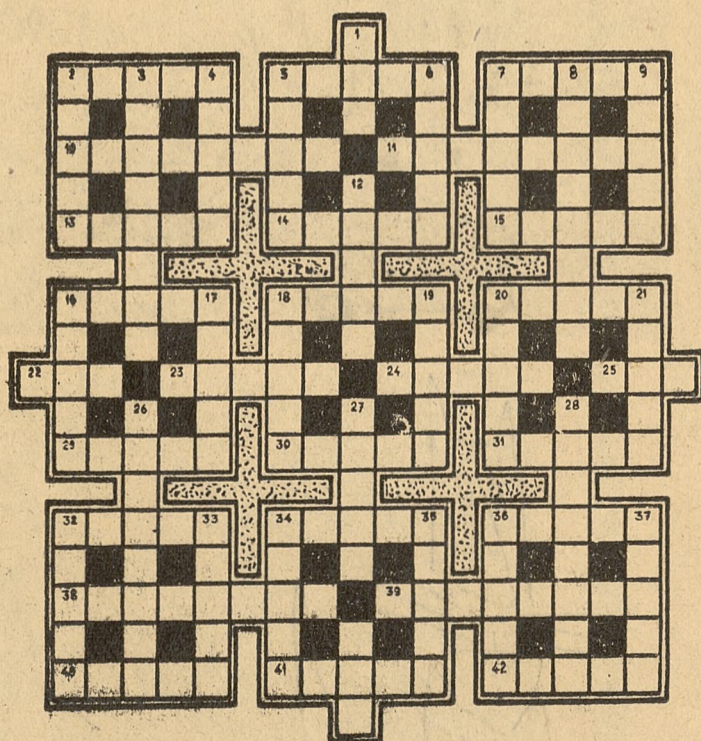
B. M.



KRZYŻÓWKA

Poziomo: 2) płycizna morska u ujścia rzeki, 5) rewia, para, 7) narzędzie rolnicze, 10) wszywa się często do płaszcza, 11) prezent, 13) pika, lanca, 14) dodatek, załącznik, 15) granica jakichś wydatków, 16) lista, spis, 18) kawałek uprawnego pola, 20) państwo otoczone Morzem Północnym i Bałtyckim, 22) pierwiastek chemiczny, 23) jądra orzechów kokosowych, 24) stolica państwa w południowej Europie, 25) rzeka w Niemczech, 29) przysmażenie, 30) góralski pasterz, 31) praktykant, próbujący uprawiać jakąś sztukę, specjalność, 32) „żyła” wodna (wspak), 34) rodzaj tańca, 36) kwiaty ostatni traw i zbóż (wspak), 38) dystrybutor książek, 39) autorka „Sezonowej miłości”, 41) awantura, zakłócenie spokoju, 42) kiłtnia, 43) zakładka na spodnicy.

Pionowo: 1) instytucje oszczędnościowe, 2) fach, 3) miejscowość wypoczynkowa, 4) ptak, 5) sosna o parasolowatej koronie, 6) rezerwa, 7) muzyczny znak obniżający dźwięk o pół tonu, 8) rodzaj ozdoby, 9) szacowanie, określenie wartości, ceny (wspak), 12) moneta na Węgrzech, zastąpiona w 1946 r. forintem, 16) słowo, 17) lęki roślinne, 18) źródło, krynica, 19) notatnik, zeszyt do zapisków, 20) zdrobniałe imię żeńskie, 21) sople, 26) gatunek zboża, 27) wielkie mocarstwo, które jeszcze nie jest członkiem ONZ, 28) autor „Popiołów”, 32) sklejka, cienka „deska” (wspak), 33) państwo w Afryce (wspak), 34) rodzaj werand, 36) zwisające części dachu, 38) ruchome „mosty” na rzekach (wspak), 37) oddział szkolny, 40) 12 miesięcy.





Steinberg

rysunki wybitnego grafika z książki »THE PASSPORT«

